

MOLIÈRE

---

# Mieszczanin szlachcicem

MOLIÈRE

# *Mieszczanin szlachcicem*

KOMEDIA W PIĘCIU AKTACH Z BALETEM

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OSOBY KOMEDII:

- pan Jourdain, mieszczanin
- pani Jourdain, jego żona
- Lucylla, córka pana Jourdain
- Kleont, zalotnik Lucylli
- Dorymena, markiza
- Dorant, hrabia, zalotnik Dorymeny
- Michasia, służąca pana Jourdain
- Covielle, służący Kleonta
- Nauczyciel Muzyki
- Uczeń Nauczyciela Muzyki
- Nauczyciel Tańca
- Nauczyciel Fechtunku
- Nauczyciel Filozofii
- Krawiec
- Czeladnik krawiecki
- dwóch lokajów

OSOBY BALETU W PIERWSZYM AKCIE:

- Śpiewaczka
- dwóch śpiewaków
- tancerze

OSOBY BALETU W DRUGIM AKCIE:

- czeladnicy krawieccy tańczący

OSOBY BALETU W TRZECIM AKCIE:

- kucharze tańczący

OSOBY BALETU W CZWARTYM AKCIE (CEREMONIA TURECKA):

- Mufti
- Turcy śpiewający, towarzyszący Muftiemu
- Derwisze śpiewający
- Turcy tańczący

OSOBY BALETU W PIĄTYM AKCIE (BALET NARODÓW):

- człowiek rozdający książeczki, tańczący
- natręty, tańczące
- tłum widzów, tańczący
- pierwszy elegant
- drugi elegant
- pierwsza elegantka
- druga elegantka
- pierwszy gaskończyk
- drugi gaskończyk
- Szwajcar
- Stary mieszcuch gaduła
- Stara mieszcza gaduła
- Hiszpanie, śpiewający i tańczący
- włoszka
- włosz
- arlekiny
- pajace
- skoczki
- śpiewacy
- tancerze

*Rzecz dzieje się w Paryżu, w domu pana Jourdain.*

## AKT PIERWSZY

*Orkiestra gra uverturę, podczas gdy na środku sceny Uczeń Nauczyciela Muzyki uklada przy stole arię, którą pan Jourdain zamówił sobie jako serenadę.*

### SCENA I

*Nauczyciel Muzyki, Uczeń Nauczyciela Muzyki, Nauczyciel Tańca, Troje śpiewaków, Dwóch skrzypków, Czterech tancerzy*

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Chodźcie, chodźcie do tej sali i zaczekajcie tu, aż nadejdzie!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

I wy także, o, z tej strony!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Gotowe?

UCZEŃ:

Tak.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Zobaczmyż... Doskonale!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

To coś nowego?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Tak, serenada, którą kazałem ułożyć naprędce, czekając, aż się poczciwiec obudzi.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Można zobaczyć?...

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Ushłyszysz pan razem ze słowami, skoro on nadejdzie. Będzie tu lada chwila.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Nie możemy się teraz skarżyć na brak zajęcia.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

To prawda. Obaj znaleźliśmy człowieka, jakiego nam było trzeba. To mi gratka dla nas ten pan Jourdain ze swymi pretensjami do szlachectwa i elegancji! Należałoby życzyć pańskiemu tańcowi i mojej muzyce, aby wszyscy byli doń podobni.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Niezupełnie; co do mnie, wołałbym, aby klient nieco więcej rozumiał się na rzeczy.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Prawda, że się nietęgo rozumie, ale tęgo płaci — a naszym sztukom trzeba tego obecnie więcej niż czegokolwiek.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Co do mnie, przyznam, iż mimo wszystko sława ma jednak swój powab. Poklask nie jest dla mnie rzeczą obojętną; uważam, że w jakiej bądź dziedzinie sztuki przykro jest dla artysty popisywać się przed stadem nieuków i zdawać swoje utwory na łaskę barbarzyńskich sądów lada cymbała. Mów, co chcesz, jednak miło jest pracować dla osób zdolnych ocenić delikatne odcienie sztuki, umiejących odczuć piękność dzieła i pochlebnymi słowy uwieńczyć naszą pracę. Tak, najmiłsza nagroda, jaką można otrzymać za swą działalność, to wiedzieć, że jest zrozumiana, słyszeć, jak się spotyka z zaszczytnym poklaskiem. Nic, moim zdaniem, nie może lepiej opłacić trudów i nie ma dla uszu wyborniejszej słodyczy niż oświecona i rozumna pochwała.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Zgadzam się na to i smakuję w nich niemniej od pana. To pewna, nic milej nie głaska po sercu — ale cóż: z kadzidla nie zrobi się chleba. O samych zachwytach niedaleko człek zajędzie, trzeba dołączyć coś podstawniejszego: najlepszy sposób chwaleń, to chwalić pełnymi rękami. Jest to w istocie człowiek ograniczony, bez wykształcenia; paple i mędrkuje o wszystkim trzy po trzy; jeśli co pochwali, to z pewnością najgłupiej w świecie — ale pieniądze jego prostują sądy jego umysłu, jego sakiewka ma wiele zdrowego rozsądku i smaku, pochwały, którymi nas raczy, posiadają dźwięk czystego złota. Sam

Sztuka, Nauka, Pieniądz

widzisz, ten ciemny mieszcuch więcej wart jest dla nas od światłego magnata, który nas tu wprowadził.

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Jest w tym coś prawdy. Jednakże moim zdaniem za wiele nacisku kładziesz na stronę pieniężną: korzyści materialne są rzeczą tak niską, że nie godzi się przyzwoitemu człowiekowi zdradzać do nich przywiązania.

NAUCZYCIEL MUZYKI :

Jednak i ty zgarniasz bez ceremonii dukaty, którymi pocziwiec cię obsypuje.

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Zapewne, ale nie pokładam w nich całego szczęścia; pragnąłbym, aby przy swoim majątku posiadał także nieco znawstwa i gustu.

NAUCZYCIEL MUZYKI :

I ja bym wołał — nad tym też pracujemy, ile w naszej mocy. Tymczasem on daje nam sposobność zyskania w świecie jakiego takiego rozgłosu i płaci za innych to, co inni będą chwalili za niego.

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Otóż i on.

## SCENA II

*Pan Jourdain w szlafroku i czapeczce nocnej, Nauczyciel Muzyki, Nauczyciel Tańca, Uczeń Nauczyciela Muzyki, Śpiewaczka, Dwóch śpiewaków, Tancerze, Dwaj lokaje*

PAN JOURDAIN :

I cóż, panowie? Co słyhać? Pokażecie mi teraz swoje figielki?

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Co? Jakie figielki?

PAN JOURDAIN :

No, to... Jakże wy to nazywacie?... Prolog czy dialog.

NAUCZYCIEL TAŃCA :

A! A!

NAUCZYCIEL MUZYKI :

Wszystko przygotowane.

PAN JOURDAIN :

Dałem wam troszkę czekać, ale bo też dzisiaj ustroję się tak, jak się ubierają ludzie dystyngowani... Szelma krawiec przysłał mi parę jedwabnych pończoch: uf, myślałem, że już nigdy nie wdzieję.

NAUCZYCIEL MUZYKI :

Najchętniej zaczekamy, aż pan będzie miał wolniejszą chwilę.

PAN JOURDAIN :

Proszę was, nie odchodźcie, póki mi nie przyniosą ubrania: chciałbym, abyście mnie widzieli.

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Co pan rozkaże.

PAN JOURDAIN :

Ujrzycie mnie w całej paradzie od stóp aż do głowy.

NAUCZYCIEL MUZYKI :

Nie wątpimy o tym.

PAN JOURDAIN :

O, kazałem sobie zrobić ten szlafrok...

NAUCZYCIEL TAŃCA :

Prześliczny!

PAN JOURDAIN :

Krawiec mi powiedział, że cały wielki świat ubiera się tak na rano.

NAUCZYCIEL MUZYKI :

Bardzo panu do twarzy.

PAN JOURDAIN :

Lokaje! Hej! Gdzie moi lokaje!

Pan, Sługa

PIERWSZY LOKAJ:

Co pan rozkaże?

PAN JOURDAIN:

Nic. Chciałem się przekonać, czy dajecie baczenie, (*do Nauczyciela Muzyki i Nauczyciela Tańca*) Jak się wam podoba moja liberia?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Wspaniała!

PAN JOURDAIN:

To negliżyk, w którym zwykłem odbywać ranne ćwiczenia.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Bardzo zgrabny.

PAN JOURDAIN:

Lokaje!

PIERWSZY LOKAJ:

Jaśnie panie?

PAN JOURDAIN:

Drugi lokaj!

DRUGI LOKAJ:

Jaśnie panie?

PAN JOURDAIN:

Trzymajcie! (*do Nauczyciela Muzyki i Nauczyciela Tańca*) Dobrze tak?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Wybornie, nie można lepiej.

PAN JOURDAIN:

Pokażcież swoje sztuczki!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Chciałem przedtem, abyś pan usłyszał jedną aryjkę ułożoną (*wskazując Ucznia*) do serenady, którą pan był łaskaw zamówić. To jeden z moich uczniów, obdarzony wielkim talentem do rzeczy tego rodzaju.

PAN JOURDAIN:

Dobrze, ale nie trzeba było brać ucznia: mogłeś pan sam sobie zadać tę fatygę.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Nie trzeba, szanowny panie, fałszywie tłumaczyć sobie nazwy „uczeń”. Tego rodzaju uczniowie nie ustępują największym mistrzom; co zaś do aryjki, jest po prostu zachwycająca. Niech pan posłucha!

PAN JOURDAIN:

Dajcie szlafrok, lepiej mi będzie słuchać... Czekajcie, nie: zdaje mi się, lepiej będzie bez szlafroka. Nie, dawajcie zresztą, tak będzie lepiej!

ŚPIEWACZKA:

Dzień i noc wzdycham, Iris, długie lata  
Pod twojej chatki zbyt nieczułym progiem;  
Jeśli to ma być miłości zapłata,  
Cóż byś uczynić mogła ze swym wrogiem?

PAN JOURDAIN:

Piosenka coś trochę smutna — to mnie usypia; wolałbym, żebyście ją przypieprzyli tu i ówdzie trochę.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Melodia musi być dostrojona do słów, proszę pana.

PAN JOURDAIN:

Kiedyś nauczył mnie ktoś bardzo ładnej nuty. Czekajcie... zaraz... jak on to powiada?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Daję słowo, nie wiem.

PAN JOURDAIN:

Coś tam jest o baranie.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

O baranie?

Zwierzęta

PAN JOURDAIN:

Tak. Aha, mam!

Gdym spotkał mą Jagusię  
W wiosenny ów poranek,  
Zrazum ją wziął za trusię,  
Potulną jak baranek.

Och, och! Och, och!

Dziś, patrząc na jej lico,  
Wzdycham: ach, tygrysico!

A co, nie ładna?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Prześliczna.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

I śpiewa pan doskonale!

PAN JOURDAIN:

To tak sam z siebie; nie uczyłem się nigdy muzyki.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Powinien by się pan uczyć tak jak tańca. To dwie sztuki najściślej ze sobą złączone...

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Otwierające umysłowi najszlachetniejsze horyzonty...

PAN JOURDAIN:

Czy ludzie dystyngowani uczą się także muzyki?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Oczywiście.

PAN JOURDAIN:

Zatem będę się uczył. Ale nie wiem, doprawdy, gdzie znajdę czas na tę naukę: oprócz fechmistrza, który mię kształcił w robieniu szpada, przyjąłem także nauczyciela filozofii; ma rozpocząć właśnie dziś rano.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Filozofia, zapewne, to też coś, ale muzyka, panie, muzyka...

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Muzyka i taniec... Muzyka i taniec to wszystko, czego człowiekowi potrzeba.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Nie ma nic, co by było równie pożyteczne dla państwa jak muzyka.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Nie ma nic, co by było ludziom tak niezbędne jak taniec.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Bez muzyki państwo nie mogłoby istnieć.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Bez tańca człowiek byłby do niczego niezdatny.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Wszystkie niesnaski, wszystkie wojny w świecie wynikają tylko z zaniedbania wiedzy muzycznej.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Wszystkie nieszczęścia ludzkie, klęski, których tak pełno w historii, głupstwa polityków, przegrane bitwy — wszystko to pochodzi jedynie z niedostatecznej umiejętności tańca.

PAN JOURDAIN:

Jakże to?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Czy wojna nie wynika z braku jedności?

PAN JOURDAIN:

To prawda.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Gdyby więc wszyscy uczyli się muzyki, czy nie byłoby to drogą do zgodnego zestroju, który zapewniłby pokój całemu światu?

Muzyka, Taniec, Polityka,  
Państwo

PAN JOURDAIN:

Ma pan słuszność.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Skoro człowiek popełni jakiś błąd, bądź w sprawach rodzinnych, bądź w rządzeniu państwem lub prowadzeniu armii, czy nie powiada się: *zrobił fałszywy krok?*

PAN JOURDAIN:

Prawda, mówi się tak.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

A zrobienie fałszywego kroku czy może wynikać z czego innego, jak z nieumiejętności tańca?

PAN JOURDAIN:

Daję słowo, macie słuszność.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Chcieliśmy panu tylko wykazać doskonałość i pożyteczność tańca i muzyki.

PAN JOURDAIN:

Teraz mi to jest zupełnie jasne.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Czy chce pan obecnie poświęcić nam chwilę?

PAN JOURDAIN:

Dobrze.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Mówilem już: jest to mała próba wyrażenia rozmaitych rodzajów uczuć za pomocą muzyki.

PAN JOURDAIN:

Rozumiem.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Proszę, chciejcie się zbliżyć! (*do pana Jourdain*) Niech pan sobie wyobrazi, że oni są przebrani za pasterzy.

PAN JOURDAIN:

Po cóż zawsze za pasterzy? Wszędzie teraz ci pasterze.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Skoro się każe ludziom wyrażać myśli za pomocą muzyki, trzeba dla prawdopodobieństwa przenieść ich w świat pasterski. Śpiew był zawsze umiłowany przez pasterzy, nie byłoby zaś rzeczą naturalną, aby na przykład książęta lub mieszczanie wyśpiewywali swe uczucia.

PAN JOURDAIN:

Niechże i tak będzie! Zaczynamy!

#### WSTAWKA MUZYCZNA

*Śpiewaczka i Dwóch śpiewaków*

ŚPIEWACZKA:

Gdy duszą naszą owładnie kochanie,

Gdy w serce wdrze się młode,

Rozkoszą dłań tęsknota, rozkoszą wzdychanie —

A jednak, oto me zdanie,

Nie masz słodsze go nic ponad swobodę.

PIERWSZY ŚPIEWAK:

Ach, nie masz słodsze go nic nad te zapały,

Nad płomień ów mocny zarazem i tkliwy,

Co w sercach dwóch naraz zagości;

To życia balsam prawdziwy —

Odrzycie życie z miłości,

A powab zniknie zeń cały.



DRUGI ŚPIEWAK:

I któż by się bronił miłosnej rozterce,  
Ach, gdyby wierność była jej nagrodą —  
Lecz czyliż spotkał kto pasterkę młodą,  
By stałe w piersiach swych nosiła serce?  
W tej płci niewdzięcznej, okrutnej  
Kto szczęścia szuka, los znajdzie zbyt smutny.

PIERWSZY ŚPIEWAK:

Chwilo słodczy!

ŚPIEWACZKA:

Swobody chwile!

DRUGI ŚPIEWAK:

Rodzie zwodniczy!

PIERWSZY ŚPIEWAK:

Wabisz tak mile!

ŚPIEWACZKA:

Was serce życzy!

DRUGI ŚPIEWAK:

Na próżno wzgardzić się siłę!

PIERWSZY ŚPIEWAK:

Ach, porzuć dla miłości nienawiść tak srogą!

ŚPIEWACZKA:

Serca bogate w wierności zalety  
Istnieć na świecie wszak mogą!

DRUGI ŚPIEWAK:

Ach, gdzież ich szukać, niestety!

ŚPIEWACZKA:

By bronić więc naszej sławy,  
Pokochać cię jam gotowa.

DRUGI ŚPIEWAK:

Lecz któż ukoi obawy,  
Czy umiesz dotrzymać słowa?

ŚPIEWACZKA:

Spróbujmyż więc, czyje serce  
Lepiej miłuje i mocniej.

DRUGI ŚPIEWAK:

Tak, i niechaj przeniewiercę  
Bogowie skarżą wszechmocni!

WSZYSCY TROJE:

Uczyńmy stałość swą chlubą  
I złączmy nasze zapały —  
Jak słodko kochać, jak lubo,  
Gdy płomień wierny i trwały!

PAN JOURDAIN:

Już koniec?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Tak.

PAN JOURDAIN:

Doprawdy, niezgorzej skłeczone; są tam różne przyśpiewki wcale sobie niczego.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Oto znów z mego zakresu mała próbka najpiękniejszych ruchów i najwdzięczniejszych póz, jakimi tylko taniec może być urozmaicony.

PAN JOURDAIN:

Znów pasterze?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Co się panu podoba, (*do tancerzy*) Proszę.

SCENA BALETOWA

## AKT DRUGI

### SCENA I

*Pan Jourdain, Nauczyciel Muzyki, Nauczyciel Tańca*

PAN JOURDAIN:

To, to było wcale niegłupie: narodek tego wywijał.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Skoro taniec przepleciemy muzyką, będzie robił jeszcze korzystniejsze wrażenie; zobaczysz pan, co to za cacko ten balecik, który ułożyliśmy dla pana.

PAN JOURDAIN:

Spieszcie się tylko, panowie: osoba, dla której zgotowałem wszystkie te komedie, uczyni mi ten zaszczyt, iż przybędzie tu dziś na obiad.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Wszystko gotowe.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Zresztą niech pan nie myśli, że to już koniec: osobistość taka jak pan, człowiek prowadzący dom tak wspaniale i mający tyle zrozumienia dla wszystkiego, co piękne, powinien dawać u siebie koncert co środę albo co czwartek.

PAN JOURDAIN:

Czy ludzie dystyngowani dają u siebie koncerty?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Rozumie się.

PAN JOURDAIN:

Więc i ja będę. Czy to ładne?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

I jak! Potrzeba panu trzech głosów: sopran, tenor i bas; do akompaniamentu zaś altówka, teorban, klawicymbał dla *basso continuo* i dwoje skrzypiec do riturneli.

PAN JOURDAIN:

Trzeba by także postarać się o kobzę. Kobza to mój ulubiony instrument, nadzwyczaj melodyjny.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Już my to ułożymy.

PAN JOURDAIN:

Niechże pan nie zapomni dostawić muzykantów, którzy mają przyspiewywać podczas obiadu!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Wszystko, czego będzie trzeba.

PAN JOURDAIN:

I przede wszystkim, aby balet był ładny.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Będzie pan zadowolony, zwłaszcza z paru menuecików, które się w nim znajdują dla pana.

PAN JOURDAIN:

Tak, menuet to mój taniec; chciałbym, abyś mnie pan mógł w nim widzieć. Dalej, panie tancmistrzu!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Niech pan włoży kapelus z łaski swojej. (*Pan Jourdain bierze kapelus z rąk lokaja i kładzie go na szlafmycę. — Nauczyciel Tańca ujmuję Pana Jourdain za rękę i prowadzi w taniec na nutę menueta, którego sam śpiewa*) La, la. Proszę w takt, jeśli łaska. La, la, la, la, la. Nogi prosto stawiać! La, la, la. Nie ruszać tak ramionami! La, la, la, la, la. Podnieść główkę! Stopy na zewnątrz! La, la, la. Piersi naprzód!

PAN JOURDAIN:

No, i cóż?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Ależ znakomicie!

PAN JOURDAIN:  
Aha, jeszcze coś! Naucz mnie pan ukłonu, jaki się składa na powitanie markizy: będzie mi to niedługo potrzebne.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Uklon na powitanie markizy?

PAN JOURDAIN:

Tak, markizy imieniem Dorymena.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Niechże mi pan poda rękę!

PAN JOURDAIN:

Nie, niech pan tylko pokaże; ja zapamiętam.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Jeśli pan chce ją pozdrowić z wielkim uszanowaniem, trzeba najpierw cofnąć się nieco wstecz przy pierwszym ukłonie, zbliżyć wśród trzech następnych, przy ostatnim zaś pochylić się aż do jej kolan.

PAN JOURDAIN:

Niechże pan popróbuje! (*Nauczyciel Tańca wykonywa potrójny uklon*) Dobrze.

## SCENA II

*Pan Jourdain, Nauczyciel Muzyki, Nauczyciel Tańca, Lokaj*

LOKAJ:

Jaśnie panie, przybył mistrz fechtunku.

PAN JOURDAIN:

Powiedz, niech wejdzie; tu odbędziemy lekcję. (*do Nauczyciela Muzyki i Nauczyciela Tańca*) Chcę, abyście widzieli.

## SCENA III

*Pan Jourdain, Nauczyciel Fechtunku, Nauczyciel Muzyki, Nauczyciel Tańca, Lokaj trzymający w ręku dwa florety*

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Proszę pana, uklon. Ciało prosto. Oprzeć się trochę na lewym udzie! Nogi nie tak szeroko. Stopy na jednej linii. Dłoń na wysokości biodra. Koniec szpady naprzeciw własnego ramienia. Ramię nie tak wyprężone. Lewa ręka na wysokości oka. Lewa łopatką nieco wstecz. Głowa prosto. Patrzeć śmiało! Naprzód! Ciało spokojnie. Proszę się złożyć w kwarcie i atakować tak samo. Raz, dwa. Do pozycji! Jeszcze raz wypad; śmiało! Uskok w ty! Kiedy pan atakuje trzeba, aby szpada szła naprzód, a ciało było dobrze podane wstecz. Raz, dwa. Dalej, złóż się pan w tercji i atakuj tak samo! Naprzód! Ciało spokojnie. Naprzód! Wypad! Raz, dwa. Do pozycji! Jeszcze wypad! Raz, dwa. Skok wstecz! Parować proszę, parować! (*Nauczyciel Fechtunku daje mu kilka pchnięć, wołając*) Parować!

PAN JOURDAIN:

No i co?

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Cudów pan dokazujesz!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Już panu tłumaczyłem, cała tajemnica robienia bronią polega tylko na dwóch rzeczach, to jest, aby bić a nie dostawać. Wykazałem to panu kiedyś w sposób doświadczalny: niepodobieństwem jest, abyś dostał pchnięcie, o ile zdołasz uchylić szpadę przeciwnika od linii własnego ciała, a to znów zależy jedynie od małego ruchu przegubem do wewnątrz albo na zewnątrz.

PAN JOURDAIN:

Zatem w ten sposób, choćby nawet człek nie był zbyt odważny, może być pewny, że zabije przeciwnika, a sam nie oberwie?

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Oczywiście; czy nie wykazałem tego na przykładzie?

PAN JOURDAIN:

Prawda.

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Z tego wynika jasno, jakim szacunkiem powinno by się nas otaczać w każdym państwie i o ile sztuka robienia bronią góruje nad innymi zbytecznymi umiejętnościami jak taniec i muzyka.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Powoli, mości fehmistrzu! Mów no pan o tańcu z większym uszanowaniem!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Naucz się pan, jeśli łaska, jak należy cenić dostojęstwo muzyki!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Śmieszni z was doprawdy ludzie: porównywać swoje figle do mojej sztuki.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Patrzcie mi pyszałka!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

A, to mi pocieszna figura, pajac w tym głupim plastronie!<sup>1</sup>

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Mój ty wielki tancmistrzu, ja cię tu nauczę tańczyć jak należy. A ty, mój wielki muzykancie, zaraz mi zaśpiewasz i to bardzo cienko.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Poczekaj, ty ze swoim rożenkiem, ja cię nauczę twojego rzemiosła!

PAN JOURDAIN:

Czyś pan oszalał, szukać kłótni z człowiekiem, który ma w małym palcu wszystkie kwarty i tercje i umie zabić człowieka w sposób doświadczalny?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Drwię sobie z jego doświadczalnego sposobu, z jego kwartą i tercją razem.

PAN JOURDAIN:

Ostrożnie, mówię!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Ejże, pokrako mała!

PAN JOURDAIN:

Ależ, panie fehmistrzu!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Ejże, ty drąga!...

PAN JOURDAIN:

Ależ, panie tancmistrzu!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Jak się do ciebie dobiorę...

PAN JOURDAIN:

Powoli!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Jak ci co przylepię...

PAN JOURDAIN:

Za pozwoleniem!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Oporządkę cię tak...

PAN JOURDAIN:

Ależ proszę!...

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Tak ci skórę wytataruję...

PAN JOURDAIN:

Jeśli łaska!...

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Pozwól pan, już my go nauczymy rozumu.

---

<sup>1</sup>plastron — tu: rodzaj kamizelki ochronnej zabezpieczającej przed urazami.

PAN JOURDAIN:  
Dła Boga! Dajże choć pan spokój!

SCENA IV

*Nauczyciel Filozofii, Pan Jourdain, Nauczyciel Muzyki, Nauczyciel Tańca, Nauczyciel Fechtunku, Lokaj*

PAN JOURDAIN:

Na miłość boską, panie filozofie, w samą porę się zjawiasz ze swą filozofią. Chodź pan, pomóż mi ich trochę uspokoić!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Cóż się stało? O co chodzi, panowie?

PAN JOURDAIN:

Zaczęli sobie oczy wykluwać wzajem wyższością swoich zawodów, aż od obelg przyszło prawie do bicia.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Ależ, panowie! Godziż się unosić w podobny sposób? Nie czytaliście uczonej rozprawy o gniewie, którą nam zostawił nieśmiertelny Seneka? Możeż być coś bardziej niskiego i haniebnego niż ta namiętność, która człowieka zamienia w dzikie bydłę? Czyż rozum nie powinien być panem wszystkich uczuć i czynności?

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Co pan gadasz! Toć on znieważył beczelnie nas obu, mówiąc ze wzdargą o tańcu i muzyce.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Mądrość podnosi człowieka nad wszystkie zniewagi, najlepszą zaś odpowiedzią na obelgi jest spokój i cierpliwość.

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

Toż ci pajace byli na tyle beczelni, aby swoje rzemiosła przyrównywać mojej sztuce!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Czyż to powinno pana tak poruszać? Nie o czczą sławę i o przodujące stanowisko przystoi ludziom walczyć; roztropność i cnota — oto najlepsze wyróżnienie.

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Ja twierdzę, iż taniec jest umiejętnością, której nie można czcić nadto wysoko.

NAUCZYCIEL MUZYKI:

A ja, że muzyka jest sztuką, którą wszystkie wieki chowały w poszanowaniu.

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

A ja powiadam obu, że kunszt robienia bronią jest najpiękniejszym i najużyteczniejszym ze wszystkich.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

A czymże będzie w takim razie filozofia? Uważam to z waszej strony za wielkie zuchwaltwo, aby tu, wobec mnie przemawiać z taką butą i wynosić beczelnie do wysokości nauk rzeczy, których nawet nazwiskiem sztuki zaszczycać się nie godzi i które można jedynie objąć mizernym mianem rębajły, dławidudy i linoskoczka!

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

A, ty psi filozofie jeden!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Ty bałwanie zakuty!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

Ty pało wierutna!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Co? Wy łajdaki... *(filozof rzuca się na nich, zaś wszyscy trzej grzmocą go)*

PAN JOURDAIN:

Panie filozofie!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Bezczelniki! Zuchwalcy! Łotry!

PAN JOURDAIN:

Panie filozofie!

Nauczyciel, Filozof, Nauka,  
Gniew, Klótnia, Bijatyka

NAUCZYCIEL FECHTUNKU:

A, bydlę przeklęte!

PAN JOURDAIN:

Panowie!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Błazny!

PAN JOURDAIN:

Panie filozofie!

NAUCZYCIEL TAŃCA:

A to mi osioł koronny!

PAN JOURDAIN:

Panowie!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Opryszki!

PAN JOURDAIN:

Panie filozofie!

NAUCZYCIEL MUZYKI:

Do kaduka z tym gburem!

PAN JOURDAIN:

Panowie!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Łotry, szalbierze, hycle, rzezimieszki!

PAN JOURDAIN:

Panie filozofie! Panowie! Panie filozofie! Panowie! Panie filozofie!

#### SCENA V

*Pan Jourdain, Lokaj*

PAN JOURDAIN:

Ech, tarmoście się, ile wam się podoba — ja na to nie poradzę. Nie będę sobie niszczył szlafroka, aby was rozdzielać. Byłbym chyba szalony pchać się między nich i jeszcze oberwać guza.

#### SCENA VI

*Nauczyciel Filozofii, Pan Jourdain, Lokaj*

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Przystąpmyż do lekcji.

PAN JOURDAIN:

Wierzaj pan, przykro mi, że pana tak poturbowali.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

To drobnostka. Filozof umie z hartem znosić przeciwności losu; napiszę satyrę w stylu Juwenala, w której się załatwię z nimi jak należy. Nie mówmy już o tym! Czegóż się pan pragnie uczyć?

PAN JOURDAIN:

Czego się tylko da; chciałbym z całej duszy być uczonym. Nie mogę przeboleć, że rodzice nie dali mnie kształcić za młodu we wszelkich umiejętnościach.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Chwalebne uczucie: *nam sine doctrina vita est quasi mortis imago*. Rozumiesz pan to? Umiesz po łacinie, oczywiście?

PAN JOURDAIN:

Owszem, ale rób pan tak, jakbym nie umiał. Wytłumacz mi, co to znaczy!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Znaczy, że *bez nauki życie jest jakoby obrazem śmierci*.

PAN JOURDAIN:

Ten łacinnik ma słuszność.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Czy masz pan pewne podstawy, jakieś zaczątki umiejętności?

PAN JOURDAIN:

O, tak — pisać i czytać.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Od czegoś pragniesz pan, abyśmy rozpoczęli? Chcesz, abym cię poznał z logiką?

PAN JOURDAIN:

Cóż to za logika?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Wiedza, która naucza o trojakich operacjach naszego umysłu.

PAN JOURDAIN:

Jakież to są te trojaki operacje?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Pierwsza, druga i trzecia. Pierwsza zasadza się na należytych pojmowaniu za pomocą uniwersaliów; druga na należytych osądzeniu za pomocą kategorii; trzecia zaś na należytych wyprowadzeniu konsekwencji za pomocą figur: *Barbara, Celarent, Darii, Ferio, Baralipon*.

PAN JOURDAIN:

Jakieś strasznie zakazane przezdźwięki. Ta logika mi się coś nie wydaje. Czegoś przyjemniejszego.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Chce pan studiować nauki moralne?

PAN JOURDAIN:

Moralne?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Tak.

PAN JOURDAIN:

Czegoż one uczą, te nauki moralne?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Traktują o szczęściu doczesnym, pouczają, jak hamować namiętności i...

PAN JOURDAIN:

Nie, dajmy temu pokój! Jestem pasjonat jak wszyscy diabli i żadna moralność nic na nie poradzi: kiedy już na mnie przyjdzie, muszę się wykląć do syta.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Chcesz się pan uczyć fizyki?

PAN JOURDAIN:

Cóż to za jedna ta fizyka?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Fizyka to nauka, która objaśnia zasady naturalnych zjawisk i właściwości ciał, poucza o przyrodzie żywiołów, metali, minerałów, kamieni, roślin i zwierząt, wskazuje na przyczyny wszelakich meteorów, tęczy, błędnych ogników, komet, błyskawic, grzmotów, piorunów, deszczu, śniegu, gradu, wiatru i wirów powietrznych.

PAN JOURDAIN:

Nie... To jakieś straszne huku-puku, straszne huru-buru.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Czegoż więc chcesz, bym pana nauczył?

PAN JOURDAIN:

Niech mnie pan nauczy ortografii.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Bardzo chętnie.

PAN JOURDAIN:

A potem nauczy mnie pan znać się na kalendarzu, abym wiedział, kiedy jest pełnia, a kiedy nów.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Niech i tak będzie! Aby tedy dobrze wniknąć w myśl pańską i traktować ten przedmiot ze stanowiska filozofii, trzeba zacząć wedle przyrodzonego porządku rzeczy od dokładnego poznania natury głosek i różnorodnych sposobów wymawiania tychże. W tym przedmiocie

Nauczyciel, Uczeń



muszę panu powiedzieć, że głoski dzielą się na samogłoski, tak nazwane samogłoskami, ponieważ wyrażają *same*, czyli czyste głosy, i na spółgłoski, tak nazwane spółgłoskami, ponieważ wymawia się je zawsze *spolem* ze samogłoskami i ponieważ oznaczają jedynie różnorodne artykulacje głosowe. Istnieje pięć samogłosek, czyli głosów: A, E, I, O, U.

PAN JOURDAIN:

To wszystko rozumiem.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoskę A wymawia się, otwierając szeroko usta: A.

PAN JOURDAIN:

A, A. Tak.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoskę E wyraża się, zbliżając szczękę górną do dolnej: A, E.

PAN JOURDAIN:

A, E; A, E. Prawda, prawda. O, jakie to piękne!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Zaś głoskę I, zbliżając jeszcze bardziej szczęki do siebie i rozsuwając kąty ust ku uszom: A, E, I.

PAN JOURDAIN:

A, E, I, I, I, I. W istocie. Niech żyje nauka!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoska O powstaje wówczas, gdy otwieramy szczęki i zbliżamy wargi dwoma kącikami, górnym i dolnym: O.

PAN JOURDAIN:

O, O. Nic słuszniejszego: A, E, I, O, I, O. To cudowne! I, O, I, O.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Otwórz ust tworzy przy tym małe kółko, które przedstawia jakby O.

PAN JOURDAIN:

O, O, O. Masz pan słuszność: O. Doprawdy, jak to miło coś umieć!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoskę U wydaje się, zbliżając do siebie zęby, nie łącząc ich wszelako całkiem i wydłużając wargi ku przodowi tak, iż również zbliżają się do siebie, nie łącząc się całkowicie: U.

PAN JOURDAIN:

U, U. Najświętsza prawda: U.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Pańskie wargi wyciągają się tak, jak gdybyś się przedrzeźniał; stąd pochodzi, iż, gdybyś chciał pokrzywić się komuś i zadrwić zeń sobie, nie mógłbyś powiedzieć nic innego, jak tylko: U.

PAN JOURDAIN:

To prawda. Ach, czemuż nie uczyłem się wcześniej, aby wiedzieć to wszystko!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Jutro przejdziemy do innych głosek, mianowicie do spółgłosek.

PAN JOURDAIN:

Czy i tam są rzeczy tak ciekawe jak tutaj?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Niewątpliwie. Spółgłoskę D na przykład wymawia się, przyciskając koniec języka, do zębów górnych: DA.

PAN JOURDAIN:

DA, DA. Prawda. Nie, jakie to piękne, jakie piękne!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoskę F, przyciskając zęby górne do wargi dolnej: FA.

PAN JOURDAIN:

FA, FA. W istocie! O moi rodzice! Jakiż ja mam żal do was! Jak żeście mnie ciężko ukrzywdzili!

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Głoskę R, podnosząc koniec języka aż do górnego podniebienia w ten sposób, iż, potracony z pewną siłą przez wychodzącą falę powietrza, ustępuje jej i wraca ciągle na to samo miejsce, wprawiony w niej jakie drżenie: R, RA.

PAN JOURDAIN:

R, R, RA, R, R, R, R, RA. To prawda. Co z pana doprawdy za uczony człowiek! Ach, ileż ja czasu straciłem! R, R, R, RA.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Wyłożę panu gruntownie wszystkie te osobliwości.

PAN JOURDAIN:

Bardzo pana proszę. A teraz muszę się panu zwierzyć z jedną rzeczą. Kocham się w pewnej bardzo wysoko postawionej osobie i pragnąłbym, abyś mi pomógł napisać bilecik, który chciałbym upuścić u jej stóp.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Bardzo chętnie.

PAN JOURDAIN:

To będzie delikatnie, prawda?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Z pewnością. Chce pan napisać wierszem?

PAN JOURDAIN:

Nie, nie, nie chcę wierszy.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Wolisz zatem prozą?

PAN JOURDAIN:

Nie, nie! Ani wierszem, ani prozą.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Musi być albo jedno, albo drugie.

PAN JOURDAIN:

Czemu?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Z tej przyczyny, iż dla wyrażenia myśli posiadamy jedynie wiersz lub prozę.

PAN JOURDAIN:

Tylko wiersz lub prozę?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Tak, panie. Wszystko, co nie jest prozą, jest wierszem, a wszystko, co nie jest wierszem, jest prozą.

PAN JOURDAIN:

A tak, jak się mówi, to co jest takiego?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

To proza.

PAN JOURDAIN:

Jak to? Więc kiedy mówię: Michasiu, podaj mi pantofle i przynieś krymkę — to proza?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Tak, panie.

PAN JOURDAIN:

Daję słowo, zatem ja już przeszło czterdzieści lat mówię prozą, nie mając o tym żywego pojęcia! Jestem panu najszczerzej obowiązany, żeś mnie pouczył. Pragnąłbym więc napisać w owym bileciku: „Piękna markizo, twoje piękne oczy sprawiły, iż umieram dla ciebie z miłości” — ale chciałbym, aby to wyrazić w sposób doborowy, żeby to było jakoś zgrabnie powiedziane.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Napiszemy, że płomienie jej oczu obracają w popiół twoje serce, że dzień i noc cierpisz dla niej najgwałtowniejsze...

PAN JOURDAIN:

Nie, nie, nic takiego. Chcę tylko to, co powiedziałem: „Piękna markizo, twoje piękne oczy sprawiły, iż umieram dla ciebie z miłości”.

Słowo, Nauka, Nauczyciel,  
Uczeń

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Trzeba to nieco rozwinąć.

PAN JOURDAIN:

Nie, mówię panu! Chcę, żeby były tylko te słowa, ale jakoś modnie wykręczone, przypawione jak się należy. Prosiłbym pana, abys mi podał, tak, na próbę, rozmaite sposoby, jakimi by to można wyrazić.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Można wyrazić po pierwsze tak, jak pan to powiedziałeś: „Piękna markizo, twoje piękne oczy sprawiły, iż umieram dla ciebie z miłości”. Albo: „Iż z miłości umieram dla ciebie, twoje piękne oczy sprawiły, piękna markizo”. Albo: „Sprawiły piękne oczy twoje, iż z miłości, piękna markizo, umieram dla ciebie”. Albo: „Oczy twoje, iż umieram, piękna markizo, dla ciebie z miłości, sprawiły”. Albo: „Dla ciebie, piękna markizo, iż umieram, sprawiły twoje piękne oczy, z miłości”.

PAN JOURDAIN:

Ale z tych wszystkich sposobów któryż jest najlepszy?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Ten, którego pan użyłeś: „Piękna markizo, twoje piękne oczy sprawiły, iż umieram dla ciebie z miłości”.

PAN JOURDAIN:

A przecież ja się nie uczyłem — i tak udało mi się trafić od razu! Dziękuję panu z całego serca. Proszę przyjść jutro wcześniej.

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Nie omieszka.

#### SCENA VII

*Pan Jourdain, Lokaj*

PAN JOURDAIN:

Jak to? Ubrania jeszcze nie przyniesiono?

LOKAJ:

Nie, proszę pana.

PAN JOURDAIN:

Ten przeklęty krawiec wytrzymuje mnie tak długo i to właśnie dziś, kiedy mam tyle na głowie! To się wściec można! Ażeby febra wytrzęsła tego hycła! Niech go diabli porwą! Niech go zaraza udławi! Gdybym miał teraz w rękę tego wściekłego krawca, tego psa, lotra...

#### SCENA VIII

*Pan Jourdain, Lokaj, Krawiec, Czeladnik niosący ubranie pana Jourdain, Lokaj*

PAN JOURDAIN:

A, to pan! Już miałem zacząć się gniewać.

KRAWIEC:

Nie mogłem wcześniej — dwudziestu robotników pracowało koło pańskiego ubrania.

PAN JOURDAIN:

Przysłałeś mi pan pończochy tak ciasne, że ledwo z największym trudem udało mi się je włożyć; dwa oczka mi trzasły.

KRAWIEC:

Rozciągną się aż nadto.

PAN JOURDAIN:

Pewnie, jeżeli oczka będą ciągle trzaskać. Trzewiki także gniotą mnie straszliwie.

KRAWIEC:

Bynajmniej, proszę pana.

PAN JOURDAIN:

Jak to: bynajmniej?

KRAWIEC:

Wcale nie gniotą.

Strój, Pozycja społeczna

PAN JOURDAIN:

Kiedy ja mówię, że gniotą.

KRAWIEC:

Zdaje się panu.

PAN JOURDAIN:

Nie zdaje mi się, przecież czuję. Także wmawianie!

KRAWIEC:

Proszę pana, oto prześliczny strój dworski, obmyślony jak nie można lepiej. Była to prawdziwa sztuka skomponować ubiór poważny, a jednak nie czarny, ale w kolorze — wyzywam najznakomitszych krawców, czy potrafią rozwiązać to zadanie.

PAN JOURDAIN:

Cóż to ma być? Kwiaty lebkami na dół?

KRAWIEC:

Nic pan nie mówił, że mają być lebkami do góry.

PAN JOURDAIN:

Czyż to trzeba mówić?

KRAWIEC:

Oczywiście. Wszystkie dystyngowane osoby tak noszą.

PAN JOURDAIN:

Dystyngowane osoby noszą kwiaty na materii w ten sposób?

KRAWIEC:

Tak, panie.

PAN JOURDAIN:

A, w takim razie wszystko dobrze.

KRAWIEC:

Jeśli pan woli, mogę je obrócić ku górze.

PAN JOURDAIN:

Nie, nie.

KRAWIEC:

Jedno słowo wystarczy.

PAN JOURDAIN:

Nie, powiadam! Dobrześ pan zrobił, jak jest. Jak się panu zdaje: czy ubranie będzie dobrze leżało?

KRAWIEC:

Pytanie! Konia z rzędem dam malarzowi, jeżeli pędzlem potrafi lepiej dopasować. Mam czeladnika, który w zakresie pludrów jest największym geniuszem świata; drugi znów w skrojeniu kaftana jest wprost bohaterem epoki.

PAN JOURDAIN:

Czy peruka i pióra są jak się należy?

KRAWIEC:

Wszystko doskonale.

PAN JOURDAIN:

O, o, panie majstrze, wszak to materia z mego ostatniego ubrania! Poznaję dobrze.

KRAWIEC:

Wydała mi się taka ładna, że kazałem z niej skroić dla siebie.

PAN JOURDAIN:

To pięknie, ale nie trzeba było krajać z mojego.

KRAWIEC:

Chce pan przymierzyć?

PAN JOURDAIN:

Dobrze, dawajcie

KRAWIEC:

Niech pan zaczeka! Tak nie idzie. Przyprowadziłem z sobą czeladników, aby pana ubrali do taktu; takiego ubrania nie wkłada się ot tak, bez ceremonii. Hej tam! Chodźcie tu wszyscy!

## SCENA IX

*Pan Jourdain, Krawiec, Czeladnik krawiecki, Czeladnicy krawieccy tańczący, Lokaj*

KRAWIEC:

Ubierzcie pana tak, jak się ubiera dystyngowane osoby!

## PIERWSZA SCENA BALETOWA

*Cztery czeladnicy tańcząc zbliżają się do pana Jourdain. Dwaj ściągają mu spodnie z rannego garnituru, dwaj drudzy zdejmują kamizelkę; potem, ciągle w takt muzyki, wkładają nowe ubranie. Pan Jourdain przechadza się i prezentuje ubiór, aby się przekonać, czy wszystko w porządku.*

CZELADNIK:

Jaśnie pan raczy coś wyrzucić dla czeladzi!

PAN JOURDAIN:

Jak ty mnie tytułujesz?

CZELADNIK:

Jaśnie panie.

PAN JOURDAIN:

Jaśnie panie! Oto, co znaczy przebrać się po szlachecku! Ubierajże się, człeku, całe życie z mieszczańska, ciekawym, czy usłyszysz od kogo: jaśnie panie, *(dając pieniądze)* Masz, masz, za jasnego pana.

CZELADNIK:

Pokornie dziękujemy jaśnie oświeconemu panu.

PAN JOURDAIN:

Jaśnie oświecony! Och, och! Jaśnie oświecony! Czekaj, przyjacielu! Jaśnie oświecony wart jakiejś nagrody, to nie byle jakie słowo: jaśnie oświecony! Macie tu, daję wam jaśnie oświecony!

CZELADNIK:

Dziękujemy jaśnie oświeconemu panu. Pójdziemy zaraz napić się za zdrowie waszej ekscelencji.

PAN JOURDAIN:

Waszej ekscelencji! Och, och, och! Czekajcie no, nie odchodźcie! Moja ekscelencja! *(po cichu na stronie)* Daję słowo, jeśli dojdzie do „wysokości”, dostanie całą sakiewkę, *(głośno)* Bierz, chłopcze! To za ekscelencję!

CZELADNIK:

Dziękujemy jaśnie oświeconemu panu za łaskawość.

PAN JOURDAIN:

Chwała Bogu, byłbym mu oddał wszystko, co mam przy sobie.

## DRUGA SCENA BALETOWA

Pozycja społeczna, Słowo,  
Pan, Sługa, Pieniądz

## AKT TRZECI

### SCENA I

*Pan Jourdain, Dwaj lokaje*

PAN JOURDAIN:

Chodźcie za mną! Chcę trochę obnieść po mieście nowe ubranie — ale pamiętajcie postępować krok w krok tuż za mną, aby każdy mógł zaraz zgadnąć, że to moja służba.

LOKAJ:

Słuchamy pana.

PAN JOURDAIN:

Zawołajcie mi tu Michasię! Mam jej dać parę zleceń. Stójcie: idzie właśnie.

### SCENA II

*Pan Jourdain, Michasia, Dwaj lokaje*

PAN JOURDAIN:

Michasiu!

MICHASIA:

Co pan każe?

PAN JOURDAIN:

Słuchaj no!

MICHASIA:

Hi, hi, hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Czegóż ty się chichoczesz?

MICHASIA:

Hi, hi, hi, hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Co ta szelma wyprawia?

MICHASIA:

Hi, hi, hi! Jak też pan wygląda! Hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Jak to?

MICHASIA:

Och, och! Boże! Hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Cóż to za błazeństwa? Drwisz sobie?

MICHASIA:

Ależ nie, panie, gdzieżbym się odważyła. Hi, hi, hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Oberwiesz po gębie, jeżeli będziesz się dłużej chichotać.

MICHASIA:

Panie, nie mogę się nie śmiać. Hi, hi, hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Nie przestaniesz?

MICHASIA:

Ach, panie, niech się pan nie gniewa, ale pan wygląda tak zabawnie, że nie mogę się wstrzymać. Hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Widział kto takie zuchwalstwo?

MICHASIA:

Sto pociech patrzeć na pana. Hi, hi!

PAN JOURDAIN:

Ja cię...

MICHASIA:

Niech się pan nie gniewa! Hi, hi, hi, hi!

Sługa, Pan, Śmiech

PAN JOURDAIN:  
 Słuchaj, jeśli się jeszcze raz zaśmiejesz, przyklepię ci na tę facjatę najtęższy policzek, jaki kiedy ktoś oberwał od stworzenia świata.

MICHASIA:  
 Nie, nie, panie, już koniec: ani się uśmiechnę.

PAN JOURDAIN:  
 No, miej się na baczności! Musisz natychmiast posprzątać...

MICHASIA:  
 Hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Posprzątać jak należy...

MICHASIA:  
 Hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Musisz, powiadam, posprzątać jak należy salę i....

MICHASIA:  
 Hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Jeszcze?

MICHASIA:  
 Nie, panie, niech mnie pan wybije, ale niech mi pan pozwoli wyśmiać się do syta — już to wolę! Hi, hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Do stu czartów!...

MICHASIA:  
 Przez litość, panie, proszę, niech mi pan da się wyśmiać! Hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Jak cię dopadnę...

MICHASIA:  
 Panie, pa... nie... ja się za... dla... więc, jeżeli się nie wyśmieję. Hi, hi, hi!

PAN JOURDAIN:  
 Nie! Widział kto kiedy taką szelmę! Toż ona w nos się śmieje najbezpieczniej, zamiast słuchać moich rozkazów!

MICHASIA:  
 Cóż więc pan każe?

PAN JOURDAIN:  
 Abyś się zakrzętnęła, fładro, na przyjęcie gości.

MICHASIA:  
 Ech, daję słowo, już mi przeszła ochota do śmiechu: pańscy goście robią w domu tyle nieporządku, że to jedno słowo wystarczy, aby mnie wprawić w najgorszy humor.

PAN JOURDAIN:  
 Może dla twej wygody całemu światu mam zamknąć drzwi przed nosem?

MICHASIA:  
 Zdałoby się je zamknąć przynajmniej pewnym figurom.

### SCENA III

*Pani Jourdain, Pan Jourdain, Michasia, Dwaj lokaje*

PANI JOURDAIN:  
 Ho, ho, to znowu coś nowego! Cóż to ma być, mężu, ta cała parada? Czy ty kpisz sobie z ludzi, żeby się tak wysztafirować? Masz ochotę, aby wszyscy sobie na tobie jęzory ostrzyli?

PAN JOURDAIN:  
 Tylko błazny i błaznice mogą sobie na mnie ostrzyć języki, moja żono.

PANI JOURDAIN:  
 Doprawdy! Myślisz może, że czekali z tym do tej pory — od dawna już cały świat sobie pokpiwa z twoich fanaberyj.

Mieszczanin, Szlachcic,  
 Mąż, Żona

PAN JOURDAIN:

I któż to jest ten cały świat, jeśli łaska?

PANI JOURDAIN:

Ten cały świat to świat, który zna się na rzeczy i więcej ma w głowie oleju od ciebie. Co do mnie, już te szlacheckie bziki kością w gardle mi stają. Własnego domu, doprawdy, poznać nie mogę. Myślałby kto, że tu co dnia tłusty wtorek: od białego rana, żeby czasu nie tracić, słyhać tylko harmider grajków i śpiewaków rozdzierających uszy całemu sąsiedztwu.

MICHASIA:

Dobrze nasza pani mówi. Ani sposób domu oporządzić jak się należy przy tej zbieraninie, która wiesz się tu koło pana. Buty mają takie, jak gdyby zbierali nimi błoto po wszystkich przedmieściach, aby je tutaj przynosić; biedna Franusia ostatni dech z siebie wypiera na szorowanie podłogi, którą pańscy śliczni bakalarze zapaskudzają codziennie na nowo.

PAN JOURDAIN:

Ejże! Panna Michasia jak na wiejską dziewczuchę ma dzióbek strasznie prześcipny!

PANI JOURDAIN:

Michasia ma słuszność; to pewna, że rozsądniejsza jest od ciebie. Chciałabym bardzo wiedzieć, na co tobie w twoim wieku nauczyciel tańca?

MICHASIA:

I tamten wielki drab od fechtów, który tupie nogami, aż dom się trzęsie, i obcasami wydziera w salonie deski z podłogi?

PAN JOURDAIN:

Cicho, baby!

PANI JOURDAIN:

Czy masz zamiar brać się do tańca wówczas, kiedy już nogi nie będą cię chciały nosić?

MICHASIA:

Czy pan ma ochotę gardło komuś poderżnąć?

PAN JOURDAIN:

Cicho siedźcie, powiadam! Nie macie o niczym pojęcia i nie wiecie, co to wszystko robi z człowieka.

PANI JOURDAIN:

Ot, wołałbyś pomyśleć, żeby wydać za mąż córkę — ma już lata po temu, aby o niej postanowić.

PAN JOURDAIN:

Pomyślę wówczas, kiedy się nastęrczy stosowna partia, ale chcę również myśleć o tym, aby się nauczyć pięknych i pożytecznych rzeczy.

MICHASIA:

Słyszałam dziś, proszę pani, że pan jeszcze przyjął na omastę profesora filozofii.

PAN JOURDAIN:

Owszem, przyjąłem. Chcę zaostrzyć bystrość swego dowcipu, aby móc rozprawiać o wszystkim w dystyngowanym towarzystwie.

PANI JOURDAIN:

Zapiszesz się może jeszcze do szkoły i dasz się ćwiczyć różgą na stare lata?

PAN JOURDAIN:

Czemu nie? Dałby Bóg, abym mógł dostać różgi tu, przy wszystkich, a w zamian umiał to, czego uczą w szkole.

MICHASIA:

Na dużo by się to panu zdało!

PAN JOURDAIN:

Z pewnością.

PANI JOURDAIN:

Wszystko to bardzo potrzebne do prowadzenia domu!

PAN JOURDAIN:

Oczywiście. Mówicie jak dwie sroki — wstyd mi waszej ciemnoty, *(do pani Jourdain)* Powiedz mi, czy ty wiesz bodaj, co ty mówisz w tej chwili?



PANI JOURDAIN:  
Owszem. Wiem, że mówię to, co się należy i że czas byłby ci wreszcie nabrać trochę rozumu.

PAN JOURDAIN:  
Nie o tym teraz mowa. Pytam się, co to są te słowa, które wygłaszasz?

PANI JOURDAIN:  
Słowa z sensem, którego brakuje twoim postępkom.

PAN JOURDAIN:  
Mówię ci, nie o tym mowa. Pytam się: to, co ja mówię do ciebie, to, co ci powiadam w tej chwili, co to jest?

PANI JOURDAIN:  
Brednie.

PAN JOURDAIN:  
Ech, nie, nie o to chodzi. To, co mówimy oboje, sposób wyrażania się, którego właśnie używamy?

PANI JOURDAIN:  
No?

PAN JOURDAIN:  
Jakże się to nazywa?

PANI JOURDAIN:  
Jak się komu podoba.

PAN JOURDAIN:  
To proza, ciemna kobieto!

PANI JOURDAIN:  
Proza?

PAN JOURDAIN:  
Tak, proza. Wszystko, co jest prozą, nie jest wierszem; co nie jest wierszem, jest prozą. O, widzisz, co to znaczy kształcić się! *(do Michasia)* A ty, wiesz ty bodaj, co trzeba zrobić, aby powiedzieć: U?

MICHASIA:  
Co znowu?

PAN JOURDAIN:  
A tak. Co robisz, kiedy wymawiasz: U?

MICHASIA:  
Hę?

PAN JOURDAIN:  
No, spróbuj! Powiedz no: U.

MICHASIA:  
No i cóż: U.

PAN JOURDAIN:  
I cóż robisz?

MICHASIA:  
Mówię: U.

PAN JOURDAIN:  
Tak, ale kiedy mówisz: U, co wtedy robisz?

MICHASIA:  
Robię, co pan każe.

PAN JOURDAIN:  
Och, skaranie boskie mieć do czynienia z takim bydłem! Wydłużasz wargi ku przodowi i przybliżasz szczękę górną do szczęki dolnej: U. Widzisz? O, jakbym się pokrzywił: U.

MICHASIA:  
A to mi cuda!

PANI JOURDAIN:  
To dopiero coś mądrego!

PAN JOURDAIN:  
To jeszcze nic! Gdybyście dopiero widziały O i DA, DA i FA, FA!

PANI JOURDAIN:

Co mają znaczyć te wszystkie michałki<sup>2</sup>?

MICHASIA:

Na cóż to niby skutkuje?

PAN JOURDAIN:

Wściekam się, kiedy widzę taką babską ciemnotę!

PANI JOURDAIN:

Ech! Powinien byś wyprawić stąd na złamanie karku tych drabów razem z ich facecjami<sup>3</sup>.

MICHASIA:

A zwłaszcza tego dryblasa z długim różnem, który mi rozpędza kurz po całym mieszkaniu.

PAN JOURDAIN:

Ejże! Mój fechmistrz tak ci się nie podoba? Zaraz cię przekonam, jakaś głupia, (*każe podać florety i wciska jeden w rękę Michasi*) Masz tu: metoda doświadczalna, linia ciała. Kiedy się chce dać kwartę, wystarczy zrobić tak, a kiedy tercję, tak. Oto sposób, aby nigdy nie być zabitym. Czy to nie jest przyjemnie być tak pewnym swojej skóry, kiedy się człowiek ma pojedynkować? Dalej, próbuj nacierać na mnie, tak dla przekonania się!

MICHASIA:

No, cóż wielkiego? (*daje mu kilka pchnięć*)

PAN JOURDAIN:

Zaraz! Hola! Ho! Powoli, błażnico!

MICHASIA:

Kazał pan nacierać.

PAN JOURDAIN:

Tak, ale ty walisz tercję, zanim spróbowałaś kwartę, i nie czekasz, aż sparuję!

PANI JOURDAIN:

Ty masz bzika, mężu, z tymi wszystkimi fanaberiami, które cię obsiadły od czasu, jak zaczęłeś pchać się między szlachtę.

PAN JOURDAIN:

Starając się obracać między szlachtą, daję tylko dowód rozumu: pewno, że to więcej warte, niż gnić wśród mieszcuchów.

PANI JOURDAIN:

Także coś! Ładne będziesz miał zyski ze swoich szlacheckich znajomości, dobrze wyjdiesz na pięknym hrabiczu, w którymś się tak zaciętrzewił.

PAN JOURDAIN:

Cicho, babo, pilnuj swojej gęby! Sama nie wiesz chyba, o kim mówisz. To osoba większego znaczenia, niż sobie możesz wyobrazić, figura, którą cenią na dworze! Toć on rozmawia z samym królem, ot, tak, jak ja tu z tobą. Czy to nie jest prawdziwy zaszczyt, gdy wszyscy widzą, że tak dostojna osoba zachodzi po mnie raz po raz, nazywa mnie drogim przyjacielem i postępuje tak, jak gdybyśmy byli sobie równi? Nie masz pojęcia, jaki on łaskaw na mnie: w oczach całego świata obsypuje mnie uprzejmościami — nieraz jestem wprost zawstydzony.

PANI JOURDAIN:

Tak, łaskaw, łaskaw i przychlebiań ci nie skąpi, ale za to wszystko pożycza od ciebie pieniędzy.

PAN JOURDAIN:

A choćby! Czyż to nie zaszczyt dla mnie pożyczać pieniędzy człowiekowi o takim stanowisku? Czy mogę nie uczynić tego z radością dla wielkiego pana, który mnie nazywa swoim przyjacielem?

PANI JOURDAIN:

A on, ten wielki pan, cóż on niby robi dla ciebie?

PAN JOURDAIN:

Phi! Rzeczy, którymi by się każdy zdumiał, gdyby były znane światu.

<sup>2</sup>michałki — ciekawostki.

<sup>3</sup>facecja (daw.) — dowcip, żart, coś wymyślnego.

Mieszczanin, Szlachcic,  
Mąż, Żona

PANI JOURDAIN:  
Cóż takiego?

PAN JOURDAIN:  
Basta! Nie mogę powiedzieć więcej. Zresztą, cóż? Pożyczyłem mu pieniędzy, prawda, ale odda mi wszystko z pewnością i to bardzo niedługo.

PANI JOURDAIN:  
Pewnie. Możesz na to czekać.

PAN JOURDAIN:  
Rozumie się. Sam powiedział.

PANI JOURDAIN:  
Tak, tak — i nie omieszka raczyć nie dotrzymać.

PAN JOURDAIN:  
Dał mi szlacheckie słowo.

PANI JOURDAIN:  
Brednie!

PAN JOURDAIN:  
Ech! Ale z ciebie uparta baba, co się zowie. Powiadam ci: dotrzyma słowa — jestem tego pewny.

PANI JOURDAIN:  
A ja jestem pewna, że nie i że te wszystkie czułości są tylko na to, aby cię wystrychnąć na dudka.

PAN JOURDAIN:  
Cicho! Oto idzie.

PANI JOURDAIN:  
Tego nam właśnie było potrzeba. Może znowu przychodzi coś wyłudzić; kiedy go widzę, doprawdy flaki mnie bolą.

PAN JOURDAIN:  
Cicho siedź, mówię!

#### SCENA IV

*Dorant, Pani Jourdain, Pan Jourdain, Michasia*

DORANT:  
I cóż, panie Jourdain, drogi przyjacielu, jak się pan miewa?

PAN JOURDAIN:  
Dziękuję, dobrze, do usług pana hrabiego.

DORANT:  
A pani Jourdain jakże się miewa dzisiaj?

PANI JOURDAIN:  
Pani Jourdain miewa się tak, jak może.

DORANT:  
Oho, panie Jourdain, ależ pan dziś wspaniale wystrojony!

PAN JOURDAIN:  
Jak pan widzi.

DORANT:  
Doskonale panu, doprawdy, w tym ubraniu; niewielu młodych elegantów na dworze mogłoby się mierzyć z panem.

PAN JOURDAIN:  
He, he!

PANI JOURDAIN:  
Mądrała: tam go drapie, gdzie go swędzi.

DORANT:  
Niech się pan obróci! Ależ to wybornie się przedstawiał!

PANI JOURDAIN:  
Pewnie: tak samo głupio z przodu, jak i z tyłu.

Mieszczanin, Szlachcic,  
Pozycja społeczna,  
Grzeczność

DORANT :  
Daję słowo, panie Jourdain, nie uwierzysz, jak mi było spieszno pana oglądać. Nikogo w świecie nie cenię tak jak pana: nie dalej jak dziś rano w gabinecie królewskim mówiłem właśnie o panu.

PAN JOURDAIN :  
Zbyt pan łaskaw na mnie, doprawdy, panie hrabio, (*do pani Jourdain*) W gabinecie królewskim!

DORANT :  
Ale niech pan będzie łaskaw nakryć głowę!

PAN JOURDAIN :  
Panie hrabio, wiem, co się komu należy.

DORANT :  
Mój Boże, niechże pan włoży kapelusz! Po cóż te ceremonie między nami?

PAN JOURDAIN :  
Panie...

DORANT :  
Ależ ja proszę o to, panie Jourdain! Wszak jesteśmy przyjaciółmi.

PAN JOURDAIN :  
Jestem pańskim najniższym sługą, panie hrabio.

DORANT :  
Zatem i ja nie nakryję głowy, póki pan tego nie uczyni.

PAN JOURDAIN :  
Wolę być raczej niegrzecznym niż uprzykrzonym.

DORANT :  
Jestem pańskim dłużnikiem, jak panu wiadomo.

PAN JOURDAIN :  
Tak, wiadomo nam aż nadto dobrze.

DORANT :  
Był pan na tyle uprzejmy, aby mi kilkakrotnie pożyczyć pieniędzy, i delikatnością swoją zyskał pan mą serdeczną wdzięczność.

PAN JOURDAIN :  
Pan żartuje chyba, panie hrabio.

DORANT :  
Jednakże ja mam zwyczaj dopełniać zobowiązań i umiem cenić przysługę, którą mi ktoś wyświadczy.

PAN JOURDAIN :  
Nie wątpię, panie hrabio.

DORANT :  
Chciałbym tedy załatwić sprawę — przyszedłem, aby się z panem porachować.

PAN JOURDAIN :  
No, widzisz sama teraz swą śmieszłą głupotę.

DORANT :  
Lubię wyrównywać rachunki, jak mogę najrychlej.

PAN JOURDAIN :  
A co? Nie mówiłem?

DORANT :  
Policzmyż zatem, ile panu razem jestem winien.

PAN JOURDAIN :  
Oto masz swoje głupie podejrzenia.

DORANT :  
Czy pamięta pan dobrze, ile mi pan ogółem był łaskaw pożyczyć?

PAN JOURDAIN :  
Przypomnę sobie. Zrobiłem nawet małą notatkę. Oto właśnie jest. Raz pożyczyłem panu dwieście ludwików.

DORANT :  
To prawda.

Pieniądz, Pozycja społeczna

PAN JOURDAIN:  
Drugim razem sto dwadzieścia.  
DORANT:  
Tak.  
PAN JOURDAIN:  
Kiedy indziej znowu sto czterdzieści.  
DORANT:  
Ma pan słuszość.  
PAN JOURDAIN:  
To razem czterysta sześćdziesiąt ludwików, czyli pięć tysięcy sześćdziesiąt funtów.  
DORANT:  
Zgadza się wybornie. Pięć tysięcy sześćdziesiąt funtów.  
PAN JOURDAIN:  
Tysiąc osiemset trzydzieści dwa funty pańskiemu kapelusznikowi.  
DORANT:  
Prawda.  
PAN JOURDAIN:  
Dwa tysiące siedemset osiemdziesiąt funtów krawcowi.  
DORANT:  
Rzeczywiście.  
PAN JOURDAIN:  
Cztery tysiące trzysta siedemdziesiąt dziewięć funtów dwanaście soldów i osiem denarów innym dostawcom.  
DORANT:  
Słusznie. Dwanaście soldów i osiem denarów — zgadza się.  
PAN JOURDAIN:  
I tysiąc siedemset czterdzieści osiem funtów, siedem soldów i cztery denary siodlarzowi.  
DORANT:  
Wszystko prawda. Ileż to razem czyni?  
PAN JOURDAIN:  
Suma ogólna: piętnaście tysięcy osiemset funtów.  
DORANT:  
Słusznie. Piętnaście tysięcy osiemset funtów. Niech pan jeszcze doliczy dwieście pistolów, które mi pan doda dzisiaj: to uczyni równe osiemnaście tysięcy franków — wypłacę je panu w najbliższych dniach.  
PANI JOURDAIN:  
Cóż, nie zgadłam?  
PAN JOURDAIN:  
Cicho!  
DORANT:  
Może panu nie na rękę zaliczyć mi jeszcze tę drobnostkę?  
PAN JOURDAIN:  
Cóż znowu!  
PANI JOURDAIN:  
Ten człowiek zrobił sobie z ciebie dojną krowę.  
PAN JOURDAIN:  
Milczeć!  
DORANT:  
Jeśli to panu kłopot sprawia, pójdę poszukać tej sumki gdzie indziej.  
PAN JOURDAIN:  
Ależ nie, panie hrabio.  
PANI JOURDAIN:  
Nie zaspokoi się, póki cię nie doprowadzi do ruiny.  
PAN JOURDAIN:  
Milczeć, mówię!

DORANT :

Wystarczy słówko powiedzieć, jeśli to panu nie dogadza.

PAN JOURDAIN :

Ależ nigdy w świecie!

PANI JOURDAIN :

To czysty rzezimieszek.

PAN JOURDAIN :

Milczże już raz!

PANI JOURDAIN :

Wyssie cię do ostatniego szeląga.

PAN JOURDAIN :

Nie zmilczysz?

DORANT :

Każdy ze znajomych najchętniej mi wygodzi tą drobnostką; ponieważ jednak pana uważam za najlepszego przyjaciela, sądziłem, iż uraziłbym go, gdybym się zwrócił gdzie indziej.

PAN JOURDAIN :

Zbyt wiele zaszczytu dla mnie, panie hrabio. Pójdę zaraz przynieść tę sumkę.

PANI JOURDAIN :

Co, jeszcze będziesz wpychał w niego pieniądze?

PAN JOURDAIN :

Cóż robić? Jakże chcesz, abym odmówił takiej osobie, człowiekowi, który mówił o mnie dziś rano w gabinecie królewskim?

PANI JOURDAIN :

Z ciebie, doprawdy, skończony i dozgonny dudek!

#### SCENA V

*Dorant, Pani Jourdain, Michasia*

DORANT :

Wydaje mi się pani jakoś nie w humorze. Co pani jest, pani Jourdain?

PANI JOURDAIN :

Co mi ma być? Kontentam jak szczupak na patelni.

DORANT :

Gdzież bawi córka pani, panna Lucylla, że jej nie mam zaszczytu oglądać?

PANI JOURDAIN :

Moja córka tam bawi, gdzie się znajduje.

DORANT :

Jakże jej zdrowie?

PANI JOURDAIN :

Lepsze od choroby.

DORANT :

Czy nie chciałaby pani którego dnia przyjść razem z córeczką zobaczyć balet i komedię, które mają grać właśnie na pokojach królewskich?

PANI JOURDAIN :

Obejdzie się tam bez nas, a jak się nie obejdzie, to i drugie dobrze.

DORANT :

Jestem pewien, pani Jourdain, że pani musiała mieć dużo wielbicieli za czasu młodości: z pewnością nie zbywało pani na urodzie i wdzięku.

PANI JOURDAIN :

Ta, ta, ta! Cóż to, czy pani Jourdain jest już nadpsuta, czy się jej głowa trzęsie?

DORANT :

Ach, daję słowo, przepraszam panią, pani Jourdain! Zapomniałem zupełnie, że pani jest młoda — jestem doprawdy tak roztargniony. Niech mi pani łaskawie wybaczy mą niegrzeczność!

SCENA VI

*Pan Jourdain, Pani Jourdain, Dorant, Michasia*

PAN JOURDAIN:

Oto jest: pełne dwieście ludwików.

DORANT:

Zapewniam pana, panie Jourdain, iż jestem panu z całego serca oddany i płonę chęcią wyświadczenia mu jakiej przysługi u dworu.

PAN JOURDAIN:

Najmocniej obowiązany.

DORANT:

Jeżeli pani Jourdain zechce zobaczyć widowisko królewskie, postaram się dla niej o najlepsze miejsce na sali.

PANI JOURDAIN:

Pani Jourdain całuje rączki.

DORANT:

Piękna markiza, jak pana już uwiadomiłem, zjawi się niebawem na balet i ucztę; udało mi się ją wreszcie nakłonić, aby przyjęła zaproszenie na zabawę, którą pan na jej cześć zgotował.

PAN JOURDAIN:

Usuńmy się nieco na bok: mam powody.

DORANT:

Już od tygodnia pana nie widziałem i nie miałem sposobności nic panu donieść o diamencie, który mi powierzyłeś, abym go wręczył w twoim imieniu, ale bo też nie możesz sobie wyobrazić, jak trudno mi było przewyciężyć jej skrupuły, zaledwie dzisiaj zgodziła się przyjąć.

PAN JOURDAIN:

Jakże się podobał?

DORANT:

Była zachwycona; toteż mamy wszelkie prawo spodziewać się, że ten piękny upominek bardzo pana posunie w jej dobrym mniemaniu.

PAN JOURDAIN:

Dałby Bóg!

PANI JOURDAIN:

On się już dzisiaj chyba od niego nie odczepi.

DORANT:

Umiałem zwrócić jej uwagę na wspaniałość daru i wiele mówiłem o pańskim uczuciu.

PAN JOURDAIN:

Doprawdy, dobroć pańska przygniata mnie, panie hrabio. Jestem, w istocie, zawstydzony, widząc, jak osoba pańskiego znaczenia zniża się dla mnie do takich usług.

DORANT:

Żartuje pan! Czy między przyjaciółmi zważa się na takie rzeczy? Czy pan nie uczyniłbyś dla mnie tego samego, gdyby była sposobność?

PAN JOURDAIN:

Och, z pewnością, z całego serca!

PANI JOURDAIN:

Jakżebym chciała widzieć go już raz za drzwiami!

DORANT:

Co do mnie, nie zważam na nic, gdy chodzi o oddanie przyjacielowi usługi. Skoro tylko mi się zwierzyłeś z miłością do uroczej markizy, z którą łączyły mnie życzliwe stosunki, widziałeś, że natychmiast sam z własnego popędu ofiarowałem się z pomocą.

PAN JOURDAIN:

To prawda. Właśnie ta dobroć mnie zawstydza.

PANI JOURDAIN:

Czyż on się stąd nie ruszy?

MICHASIA:

Dobrali się jak guzik i pętelka.

Flirt, Klejnot, Dama

DORANT :

Obrałeś pan najlepszą drogę, aby trafić do jej serca. Kobiety są bardzo tkliwe na wydatki, jakie ktoś dla nich ponosi; toteż pańskie częste serenady, ustawiczne bukiety, wspaniałe ognie sztuczne, które kiedyś wyprawileś dla niej na jeziorze, ten świeżo ofiarowany diament i uczta, którą właśnie gotujesz, wszystko to lepiej przemawia na rzecz pańskiej miłości niż wszelkie słowa, którymi sam mógłbyś ją wyrazić.

PAN JOURDAIN :

Nie ma wydatków, do których bym nie był gotowy, gdybym wiedział, że tą drogą uda mi się trafić do jej serca. Kobieta dystygowana ma dla mnie niewysłowiony urok; łaski jej byłyby zaszczytem, którego nie mógłbym zbyt drogo opłacić.

PANI JOURDAIN :

O czym oni mogą tak radzić bez końca? Zajdź no po cichutku i staraj się podsłuchać!

DORANT :

Za małą chwilę będziesz się pan mógł napawać do syta rozkoszą jej widoku, oczy twoje będą kosztować tej słodyczy w całej pełni.

PAN JOURDAIN :

Aby być zupełnie swobodnym, urządziłem się w ten sposób, iż żona będzie na obiedzie u siostry i spędzi tam cały wieczór.

DORANT :

Roztropnieś pan uczynił: obecność jej tutaj byłaby nam bardzo nie na rękę. Dałem już w pańskim imieniu zlecenia kucharzowi i kazałem przygotować wszystko, co potrzebne do baletu. Balet jest mojego pomysłu i, byleby wykonanie odpowiedziało intencjom, jestem pewien, że spotka się...

PAN JOURDAIN :

Patrzcie ją, błaznicę jedną! (*do Doranta*) Przejdźmy stąd, jeśli łaska, panie hrabio!

## SCENA VII

*Pani Jourdain, Michasia*

MICHASIA :

Oberwałam trochę za swoją ciekawość, proszę pani, alem się dowiedziała, że się tutaj coś brzydkiego święci. Oni coś knują za pani plecami.

PANI JOURDAIN :

Moja Michasiu, ja już nie od dzisiaj mam podejrzenia. Coś mi się wszystko widzi, że tu się kryje jakaś romansowa sprawa... Koniecznie muszę wy badać, co to takiego. Ale pomówmy o córce! Wiesz, jak Kleont ją kocha — jest to człowiek zupełnie po mojej myśli, pragnę szczerze dopomóc jego staraniom i, jeśli się uda, oddać mu Lucyllę.

MICHASIA :

Niech mi pani wierzy, że jestem uszczęśliwiona z tych zamiarów: jeżeli bowiem Kleont podoba się pani dla córki, mnie niemniej przypadł do smaku jego służący dla mnie samej i pragnęłabym, aby w cieniu tamtego małżeństwa mogło i nasze przyjść do skutku.

PANI JOURDAIN :

Idź w moim imieniu odszukać Kleonta i powiedz mu, niech przybędzie niezwłocznie, abyśmy mogli razem przedstawić mężowi jego życzenia!

MICHASIA :

Spieszę, proszę pani, z ochotą. Nie mogła mnie pani bardziej ucieszyć, (*sama*) Mam nadzieję, że jest ktoś, kto podzieli ze mną tę radość.

## SCENA VIII

*Kleont, Covielle, Michasia*

MICHASIA :

Doprawdy, zjawia się pan jak na zawołanie! Mam wesołą nowinę dla pana: właśnie...

KLEONT :

Usuń się, przewrotna, i nie staraj się mnie oszukać zdradzieckim szczebiotem!

MICHASIA :

Jak to? Tak pan przyjmuje...



KLEONT:

Odejdź, powtarzam, i spiesz powiedzieć swej niewiernej pani, że już w życiu nie uda się jej wywieść w pole zbyt łatwowiernego Kleonta!

MICHASIA:

Cóż to za kołowacizna? Mój poczciwy Covielle, może ty mi powiesz, co to wszystko znaczy?

COVIELLE:

Poczciwy Covielle, ty, zmijko mała! Dalej, prędko, znikaj mi z oczu, niegodziwa, i zostaw mnie w spokoju!

MICHASIA:

Jak to? Ty także...

COVIELLE:

Ruszaj z mych oczu, powtarzam, i w życiu nie mów do mnie!

MICHASIA:

Aj, cóż za mucha ukąsiła ich obu? Chodźmy donieść panience o tej ładnej historii!

## SCENA IX

*Kleont, Covielle*

KLEONT:

Ha! W ten sposób obchodzić się ze swoim wielbicielem i to najwierniejszym, najprzywiązańszym, jaki kiedykolwiek istniał!

COVIELLE:

Doprawdy, niesłychane, co one z nami zrobiły!

KLEONT:

Okazuję tej istocie tyle tliwości i przywiązania, ją tylko kocham na świecie, nie widzę po prostu nic poza nią, ona jest celem wszystkich mych starań, pragnień, radości, mówię, myślę, śnię tylko o niej, oddycham tylko dla niej, serce moje dla niej tylko bije — i oto nagroda takiego uczucia! Nie widzę jej całe dwa dni, dla mnie dwa wieki straszliwe; spotykam ją przypadkiem: na ten widok serce przestaje mi bić ze wzruszenia, radość tryska z mej twarzy, w upojeniu szczęścia lecę ku niej, a ta niewdzięczna odwraca po prostu głowę i przechodzi obojętnie, jak gdyby w życiu nie widziała mnie na oczy!

COVIELLE:

Z ust mi pan wyjąłeś to wszystko.

KLEONT:

Powiedz, Covielle, czy może coś w świecie dorównać przewrotności niewdzięcznej Lucylli?

COVIELLE:

Albo tej hultajki Michasi. Niech pan sam przyzna!

KLEONT:

Po tylu żarliwych ofiarach, westchnieniach i przysięgach, które niosłem w holdzie jej powabom!

COVIELLE:

Po tylu wytrwałych grzecznościach, wysługach i staraniach, które świadczyłem jej w kuchni!

KLEONT:

Tyle łez, którymi zrosiłem jej kolana!

COVIELLE:

Tyle wiader wody, które za nią wyciągnąłem ze studni!

KLEONT:

Tyle zapachu, który mógł dowieść, iż kocham ją więcej niż samego siebie!

COVIELLE:

Tyle żaru, który wycierpiałem, obracając za nią rożen!

KLEONT:

I ona ucieka ode mnie ze wzgardą!

COVIELLE:

Bezczelnie odwraca się plecami!

Pan, Sługa, Miłość,  
Kochanek

KLEONT:

To przewrotność godna najsurowszej kary.

COVIELLE:

Zdrada zasługująca na tysiąc policzków.

KLEONT:

Proszę cię, nie waż się rzec ni słowa w jej obronie.

COVIELLE:

Ja, panie? Niech mnie Bóg strzeże!

KLEONT:

Nie próbuj uniewinniać postępków niewiernej!

COVIELLE:

Niech się pan nie boi!

KLEONT:

Na nic by się nie zdało wszystko, co mógłbyś powiedzieć w tej mierze.

COVIELLE:

Ani mi się śni.

KLEONT:

Chcę wytrwać w mej urazie i zerwać wszelkie stosunki.

COVIELLE:

Bardzo słusznie.

KLEONT:

Kto wie, czy ten pan hrabia, który zachodzi tutaj, nie zawrócił jej w głowie; dusza jej, widzę dobrze, idzie na lep światowych błyskotek. Ale honor nie pozwala mi czekać chwili, aż niewierność stanie się oczywistą. Skoro jej serce dąży do odmiany i ja nie dam się wyprzedzić: nie będzie tryumfować, że to ona mnie porzuciła.

COVIELLE:

Bardzo dobrze! Dzielę najzupełniej pańskie uczucia.

KLEONT:

Zespól się ze mną w urazie i podsycaj mą zawziętość w walce z resztkami miłości, gdyby chciały przemawiać w jej obronie! Zaklinam cię, mów mi o niej, co możesz najgorszego! Odmaluj jej osobę w sposób, który by zbudził we mnie jeno wzgardę, obrzydź mi Lucyllę, wytykaj wszystkie błędy, których kiedykolwiek się w niej dopatrzyłeś!

COVIELLE:

Ona, panie? Ta wymuskana lala, ta mizdrząca się gaska! Miał się też pan w kim zadurzyć! To kąsek bardzo pospolity, doprawdy; znajdziesz pan sto innych, o ileż godniejszych! Po pierwsze: ma małe oczy.

KLEONT:

Prawda, małe, ale za to ile w nich ognia, ile blasku, bystrości! Czyż mogą być w świecie oczy bardziej wnikające do duszy?

COVIELLE:

Usta duże...

KLEONT:

Tak, ale pod względem powabu nie mają sobie równych w świecie: to usta najbardziej pożądane, pociągające, najbardziej miłosne pod słońcem.

COVIELLE:

Wzrost nikły...

KLEONT:

Tak, ale zgrabna i harmonijna w ruchach.

COVIELLE:

Mizdrzy się...

KLEONT:

To prawda, ale czyni to z niewysłowionym wdziękiem: każde jej poruszenie posiada dziwny czar, któremu serce oprzeć się nie może.

COVIELLE:

Co się tyczy dowcipu...

KLEONT:

Ach, ma go, Covielle, i jaki! Żywy, wykwinny!

Miłość, Pogarda

COVIELLE:

Jej rozmowa...

KLEONT:

Czarująca!

COVIELLE:

Jest zawsze poważna.

KLEONT:

Chciałbyś, aby bezustannie buchała wesołością bez przyczyny i treści? Możeż być coś bardziej niecierpliwiejszego niż kobieta, co się wciąż chichocze za lada pozorem?

COVIELLE:

No, ale to pan przyzna, że jest najkapryśniejszą istotą pod słońcem.

KLEONT:

Tak, jest kapryśna, przyznaję, ale wszak piękności wszystko jest do twarzy i wszystko można darować za tyle powabu.

COVIELLE:

Skoro więc tak rzeczy stoją, widzę, że pan ma zamiar kochać ją stale i niezmiennie.

KLEONT:

Ja? Raczej umrzeć! Pragnę odtąd nienawidzić tyle, ile poprzednio kochałem.

COVIELLE:

Jakże pan tego dokaże, skoro posiada w pańskich oczach same doskonałości?

KLEONT:

Tym chlubniejszą będzie zemsta: przez to właśnie chcę dowieść hartu mego serca, iż ją znienawidzę i rzucę, mimo że jest dla mnie najpiękniejszą, najmiłszą i najpowabniejszą pod słońcem. Otóż i ona.

#### SCENA X

*Lucylla, Kleont, Covielle, Michasia*

MICHASIA:

Co do mnie, doprawdy, trzęsę się z oburzenia.

LUCYLLA:

To nic innego, tylko to, co ci mówię, Michasiu. Ale otóż i on.

KLEONT:

Nie odezwę się nawet.

COVIELLE:

I ja za panem.

LUCYLLA:

Co się stało, Kleoncie, o cóż ci chodzi?

MICHASIA:

Co ci dolega, Covielle?

LUCYLLA:

Co za zmartwienie cię dręczy?

MICHASIA:

Cóż za humory cię napadły?

LUCYLLA:

Czyś zaniemiał, Kleoncie?

MICHASIA:

Czyś mowę stracił, Covielle?

KLEONT:

Widziałże kto tyle obludy?

COVIELLE:

Judasz w spódnicy!

LUCYLLA:

Domyślam się, że nasze niedawne spotkanie jest przyczyną twego wzburzenia.

KLEONT:

Oho! Sama czuje, co uczyniła.

MICHASIA :

Nasze ranne przyjęcie sprawiło pewnie te dąsy.

COVIELLE :

Zgadły, skąd wiatr wieje.

LUCYLLA :

Prawda, Kleoncie, że to jest powód twojej urazy?

KLEONT :

Tak, wiarołomna, to właśnie, jeżeli chcesz prawdy! Ale przyszedłem ci powiedzieć, że nie będziesz się cieszyła, jak mniemasz, chwałą swej niewierności. Pierwszy chcę zerwać z tobą, nie doczekasz się tej przyjemności, abyś ty miała mi dać odprawę. Ciężko mi będzie, to pewna, zwalczyć miłość, którą mam dla ciebie, sprawi mi to wiele przykrości, będę jakiś czas cierpiał — ale potrafię się przemóc i raczej przesyję własne serce niż okażę tę słabość, bym miał do ciebie wrócić.

COVIELLE :

I ja *ditto*, moja panienko.

LUCYLLA :

To mi, doprawdy, wiele hałasu o nic! Powiem ci więc, Kleoncie, co za przyczyna kazała mi dziś rano unikać spotkania.

KLEONT :

Nie, nie chcę słyszeć o niczym.

MICHASIA :

Posłuchaj, powiem ci, czemuśmy was minęły tak spiesznie.

COVIELLE :

Niczegom nieciekawym.

LUCYLLA :

Dowiedz się, że dziś rano...

KLEONT :

Nic, powiadam!

MICHASIA :

Ushysz więc...

COVIELLE :

Nie, zdrajczyń!

LUCYLLA :

Słuchaj!

KLEONT :

To na próżno.

MICHASIA :

Pozwól mi mówić!

COVIELLE :

Głuchy jestem.

LUCYLLA :

Kleoncie!

KLEONT :

Nie.

MICHASIA :

Covielle!

COVIELLE :

Nici z tego.

LUCYLLA :

Wstrzymaj się!

KLEONT :

Baśnie.

MICHASIA :

Posłuchaj!

COVIELLE :

Brednie.

LUCYLLA :

Chwileczkę!

KLEONT :

Ani chwili.

MICHASIA :

Troszkę cierpliwości!

COVIELLE :

Tarara!

LUCYLLA :

Dwa słowa!

KLEONT :

Nie — skończone.

MICHASIA :

Słóweczko!

COVIELLE :

Już przepadło.

LUCYLLA :

Dobrze więc, skoro nie chcesz mnie wysłuchać, możesz zostać przy swoim mniemaniu i uczynić, co sam uznasz za stosowne.

MICHASIA :

Kiedyś taki, rób sobie, co ci się podoba!

KLEONT :

Usłyszmyż więc przyczynę tak uprzejmego przyjęcia.

LUCYLLA :

Ani myślę. Teraz już ja nie powiem.

COVIELLE :

Gadajże więc, co to było!

MICHASIA :

Odeszła mi ochota.

KLEONT :

Chciej mi pani wyjaśnić...

LUCYLLA :

Nie, nic nie wyjaśnię...

COVIELLE :

Opowiedz więc...

MICHASIA :

Nie, nic nie opowiem.

KLEONT :

Ja proszę.

LUCYLLA :

Nie, powiadam.

COVIELLE :

Przez litość!

MICHASIA :

Nic z tego.

KLEONT :

Błagam cię, pani!

LUCYLLA :

Zostaw!

COVIELLE :

Zaklinam cię!

MICHASIA :

Umykaj stąd!

KLEONT :

Lucy!o!

LUCYLLA :

Nie.

COVIELLE:

Michasiu!

MICHASIA:

Za nic.

KLEONT:

Na Boga!

LUCYLLA:

Nie chcę.

COVIELLE:

Przemów do mnie!

MICHASIA:

Ani myślę.

KLEONT:

Rozwiej moje zwątpienie!

LUCYLLA:

Nie — możesz przy nim pozostać.

COVIELLE:

Ulecz mą duszę!

MICHASIA:

Ani mi się śni.

KLEONT:

Dobrze więc! Jeśli tak mało ci na tym zależy, aby uśmierzyć me zgryzoty i usprawiedliwić niegodny sposób, w jaki przyjąłeś me zapaly, dobrze więc, niewdzięczna, widzisz mnie po raz ostatni w życiu: idę z dala od ciebie umrzeć z miłości i żalu.

COVIELLE:

I ja za panem.

LUCYLLA:

Kleoncie!

MICHASIA:

Covielle!

KLEONT:

Co takiego?

COVIELLE:

O co chodzi?

LUCYLLA:

Gdzie idziesz?

KLEONT:

Już powiedziałem.

COVIELLE:

Idziemy umrzeć.

LUCYLLA:

Ty chcesz umrzeć, Kleoncie?

KLEONT:

Tak, okrutna, skoro tego pragniesz.

LUCYLLA:

Ja! Ja pragnę, abyś umarł?

KLEONT:

Tak, ty.

LUCYLLA:

I ktoś ci to powiedział?

KLEONT:

Czy nie znaczy, iż chcesz mojej śmierci, skoro nie chcesz rozproszyć mego niepokoju?

LUCYLLA:

Czyż to moja wina? Toż, gdybyś chciał wysłuchać, byłabym ci dawno wyjaśniła, że owo chłodne przyjęcie dziś rano spowodowała jedynie obecność starej ciotki, która uważa, iż samo zbliżenie mężczyzny uchybia młodej panience, prawi nam ustawicznie kazania na ten temat i przedstawia wszystkich mężczyzn jako diabelskie i zapowietrzane istoty.

MICHASIA:

Oto i cała tajemnica.

KLEONT:

Nie zwodzisz mnie, Lucyлло?

COVIELLE:

Nie bierzesz ty mnie na kawał?

LUCYLLA:

Nic prawdziwszego pod słońcem.

MICHASIA:

Samiutenieczka prawda.

KLEONT:

Ach, Lucyлло, jak rychło jedno słowo z twoich ust umie ukoić burze mego serca! Jak łatwo jest przekonać kogoś, kto tak bardzo kocha!

COVIELLE:

Jak one nas za nos wodzą, te szelmy z piekła rodem!

#### SCENA XI

*Pani Jourdain, Kleont, Lucylla, Covielle, Michasia*

PANI JOURDAIN:

Cieszę się, że cię spotykam, Kleontcie: zjawili się w samą porę. Mąż właśnie idzie — skorzystaj ze sposobności, aby się oświadczyć o rękę Lucysi!

KLEONT:

Ach, pani, jakże miłe mi są te słowa i jak odpowiadają mym najszczerzym pragnieniom! Czyż mógłbym otrzymać rozkaz bardziej ponętny, łaskę bardziej cenną?

#### SCENA XII

*Kleont, Pan Jourdain, Pani Jourdain, Lucylla, Covielle, Michasia*

KLEONT:

Panie, nic chciałem się uciekać do niczyjego pośrednictwa, aby panu przedłożyć prośbę, z którą noszę się już od dawna. Dotyczy mnie ona dosyć blisko, abym miał prawo sam z nią wystąpić — bez długich tedy omówień powiem panu, iż śmiem ubiegać się o łaskę zostania pańskim zięciem.

PAN JOURDAIN:

Zanim odpowiem, proszę, chciej mnie objaśnić, czy jesteś szlachcicem?

KLEONT:

Szanowny panie, większość ludzi nie wahałaby się długo na mym miejscu z odpowiedzią: ten i ów przywłaszcza sobie tę godność bez najmniejszego skrupułu; kradzież taka stała się dziś niemal zwyczajem. Co do mnie, wyznaję, że mam na tym punkcie nieco surowsze zapatrywania. Uważam, że wszelkie szalbierstwo niegodne jest uczciwego człowieka, że dowodem niskich uczuć jest ukrywać urodzenie, które niebo dało nam w udziale, stroić się w oczach świata w samozwańcze tytuły oraz podawać się za to, czym się nie jest w istocie. Pochodzę z rodziny, która od dawna z ojca na syna piastowała zaszczytne urzędy; miałem honor spędzić sześć lat w służbie wojskowej i posiadam tyle majątku, aby zajmować w świecie miejsce dość poczesne — mimo to jednak nie chcę nadużywać miana, do którego wielu na mym miejscu przyznałoby sobie prawo, i powiem otwarcie, że szlachcicem nie jestem.

PAN JOURDAIN:

Daj rękę, drogi panie, ale córka moja nie dla ciebie!

KLEONT:

Jak to?

PAN JOURDAIN:

Nie jesteś szlachcicem, nie możesz być mężem mojej córki.

PANI JOURDAIN:

Co tobie się ubzdurało w głowie z twoim szlachectwem? Czy może myśmy się poczęli z żebra świętego Ludwika?

Pozycja społeczna,  
Mieszczanin, Szlachcic,  
Mąż, Żona, Kłótnia, Córka,  
Małżeństwo

PAN JOURDAIN:

Cicho bądź, moja połowico! Już zaczynasz swoją piosenkę?

PANI JOURDAIN:

Czy nasi rodzice byli czym innym niż uczciwymi mieszczanami?

PAN JOURDAIN:

Proszę mi bez przezwisk.

PANI JOURDAIN:

Może twój ojciec nie był kupcem, tak samo jak i mój?

PAN JOURDAIN:

Diabli nadali babę! Zawsze ją język świerzbi. Jeśli twój ojciec był kupcem, tymci gorzej dla niego, ale, co się tyczy mego ojca, tylko skończeni durnie mogą bajać takie rzeczy. Krótko mówiąc, chcę mieć zięcia szlachcica i basta.

PANI JOURDAIN:

Córce potrzeba męża, który by jej odpowiadał; lepiej jej iść za porządnego człowieka, który jest przy tym zamożny i przystojny, niż za jakiego szlachciurę, dziada i niedołęgę.

MICHASIA:

To prawda! Na przykład syn dziedzica z naszej wioski: toż to największy niezguła i najgłupszy wałkoń, jakiegom kiedy na oczy widziała.

PAN JOURDAIN:

Cicho siedź, błaznico! Zawsze się musisz wtrącać. Majątku mam dosyć sam dla córki, trzeba mi tylko szaczonego tytułu: chcę, aby została markizą.

PANI JOURDAIN:

Markizą?

PAN JOURDAIN:

Tak, markizą,

PANI JOURDAIN:

Niechże mnie Bóg broni!

PAN JOURDAIN:

To moja niewzruszona wola.

PANI JOURDAIN:

A ja powiadam, że na to nigdy się nie zgodzę. Takie pchanie się wyżej niż Pan Bóg człeka stworzył, kończy się zawsze bardzo smutno. Wcale nie mam ochoty, aby pan zięć miał wymawiać córce jej rodziców i aby jej dzieci wstydziły się nazywać mnie babką. Niechże przypadkiem zajdzie do mnie w odwiedziny wystrojona jak wielka dama i zapomni przez nieuwagę pozdrowić jakiego pana sąsiada lub panią sąsiadkę, co by to zaraz były za gadania! „Patrzcie no — tak by mówiono — jak ona zadziera nosa, ta pani markiza! A przecież to córka pana Jourdain; ot, pamiętam ją takim bębnem; kontenta była, kiedy się mogła z nami bawić w ślepią babkę. Nie zawsze była taką damą: toć obaj dziadkowie sprzedawali sukno koło bramy św. Innocentego. Ba! Zostawili dzieciom wcale ładny mająteczek, który teraz może drogo im przychodzi opłacić na tamtym świecie: z uczciwości nie bogaci się człowiek tak łatwo”. Nie mam wcale ochoty, żeby sobie na mnie ostrzyli języki; chcę po prostu człowieka, który byłby mi wdzięczny za mą córkę i któremu bym mogła powiedzieć: siadajże, miły zięciu, i zjedz z nami obiadek!

PAN JOURDAIN:

Oto uczucia godne ciasnego pojęcia, chcieć na zawsze grzęznąć w mizerii swego stanu! Nie sprzeczasz się dłużej! Córka moja będzie markizą na przekór całemu światu, a jeżeli mnie będziesz drażnić, to zrobię z niej księżnę!

### SCENA XIII

*Pani Jourdain, Lucylla, Kleont, Covielle, Michasia*

PANI JOURDAIN:

Kleoncie, nie trać jeszcze odwagi!

Chodź za mną, córko, i powiedz stanowczo ojcu, że, jeżeli nie wyda cię za niego, nie chcesz iść za nikogo!



SCENA XIV

*Kleont, Covielle*

COVIELLE:

Diablich się pan dopytał zysków za swoje wniosie uczucia!

KLEONT:

Cóż chcesz? Mam na tym punkcie drażliwość, z której przykład drugich wyleczyć mnie nie zdoła.

COVIELLE:

Czy pan sobie żartuje, aby brać rzeczy na serio z tego rodzaju człowiekiem? Czyż pan nie widzi, że on ma bzika? Cóż panu szkodziło dostroić się do jego urojeń?

KLEONT:

Masz słuszość, ale nie myślałem, że trzeba się będzie wywodzić ze szlachectwa, aby zostać zięciem pana Jourdain.

COVIELLE:

Ha, ha, ha!

KLEONT:

Z czegoż się śmiejesz?

COVIELLE:

Z pewnej myśli, która mi przyszła do głowy. A gdyby tak za jednym zachodem zadrwić sobie z tego dudka, a zarazem uzyskać to, czego pan pragnie?

KLEONT:

W jaki sposób?

COVIELLE:

Pomysł wcale ucieszny.

KLEONT:

Cóż takiego?

COVIELLE:

Przedstawiano niedawno w mieście maskaradę, która by tutaj znakomicie się nam nadała. Chciałbym tedy spożytkować to widowisko i wyprawić poczciwcowi paradną hecę. Trąci to wprawdzie komedią i to grubą, ale z nim można sobie na wszystko pozwolić: nie potrzeba zbyt wyęzwać mózgownicy. Pewien jestem, iż pan Jourdain odegra cudownie swą rolę i przyjmie w świętej naiwności za dobrą monetę każde najdziksze błazeństwo. Mam aktorów i kostiumy pod ręką... Niech mi pan pozwoli działać!

KLEONT:

Ale wytłumacz...

COVIELLE:

Wszystko panu objaśnię. Chodźmy stąd, właśnie wraca!

SCENA XV

*(sam)*

PAN JOURDAIN:

Cóż za dziwactwa! Wszyscy na mnie powstają za tych wielkich panów, a, doprawdy, cóż może być miłszego i godziwszego niż szukanie ich towarzystwa? Czyż ono nie przynosi jedynie zaszczytu i przyjemności? Ba, oddałbym chętnie dwa palce u ręki, aby się urodzić hrabią lub markizem.

Pozycja społeczna, Szlachcic

SCENA XVI

*Pan Jourdain, Lokaj*

LOKAJ:

Jaśnie panie, przybył właśnie pan hrabia pod rękę z jakąś damą.

PAN JOURDAIN:

Ach, Boże, a ja mam jeszcze wydać kilka rozporządzeń. Powiedz, że zjawię się za chwilę.

SCENA XVII

*Dorymena, Dorant, Lokaj*

LOKAJ:

Pan powiada, że zjawi się za chwilę.

DORANT:

Dobrze już, dobrze.

SCENA XVIII

*Dorymena, Dorant*

DORYMENA:

Doprawdy, lękam się, Dorancie, że popełniam wielką nieostrożność, pozwalając ci się prowadzić w ten sposób do zupełnie obcego domu.

DORANT:

Gdzież zatem każesz pani szukać schronienia mej miłości, która ci pragnie zgotować tę małą rozrywkę? Wszak dla zachowania pozorów nie chciałaś pozwolić, aby się to odbyło w twoim, ani też w moim domu.

DORYMENA:

Ale tego nie bierzesz w rachubę, że dowody czułości, jakich doznaję od ciebie niemal co dzień, wkładają na mnie z każdym dniem coraz to większe zobowiązania. Daremnie próbuję się bronić: twoja wytrwałość, choć na pozór słodka i uległa, wyczerpuje mój opór i sprawia, iż powoli uzyskujesz wszystko, czego zapragniesz. Zaczęło się od częstych wizyt, potem przyszły oświadczenia, po nich serenady i zabawy, wreszcie podarki. Opierałam się długo, ale pan niczym się nie zrażasz i piędź po piędzi umiesz zdobywać grunt mej przychylności. Co do mnie, za nic już ręczyć dziś nie mogę: zaczynam wierzyć, iż w końcu uda ci się doprowadzić mnie do małżeństwa, od którego byłam zrazu tak daleka.

DORANT:

Na honor, pani, już dawno powinno się było na tym skończyć. Jesteś wdową, zależy tylko od siebie, ja również jestem wolny i kocham panią nad życie — cóż stoi na przeszkodzie, abyś dziś jeszcze uczyniła mnie najszczęśliwszym z ludzi?

DORYMENA:

Mój Boże! Dorancie, wiele trzeba przymiotów z obu stron, aby żyć razem szczęśliwie. Wszak dwojgu najrozsądniejszym nawet istotom nie zawsze się udaje stworzyć związek, z którego by później były zadowolone.

DORANT:

Żartuje pani! I po cóż dopatrywać się tylu trudności? Jedno doświadczenie, które pani uczyniła, nie przesądza wszak o innych.

DORYMENA:

Słowem, wracam ciągle do tego samego — wydatki, które dla mnie podejmujesz, niepokoją mnie z dwojakiej przyczyny: po pierwsze zobowiązują mnie mocniej, niżbym pragnęła, po drugie, bez urazy, pewna jestem, iż nie przychodzą panu bez kłopotu, a tego bym bardzo nie chciała.

DORANT:

Och, pani, to drobiazg i jeżeli o to jedynie...

DORANT:

Błagam panią, nie chciej przeceniać tej drobnostki, która miłości mojej wydaje się zbyt niegodną ciebie, i pozwól... Otóż i gospodarz domu.

SCENA XIX

*Pan Jourdain, Dorymena, Dorant*

PAN JOURDAIN:

Trochę w tył, wielmożna pani.

DORYMENA:

Jak to?

PAN JOURDAIN:

Jeden krok, jeżeli łaska.

Małżeństwo, Dar

Grzeczność

DORYMENA:

O co chodzi?

PAN JOURDAIN:

Niech się pani trochę cofnie, abym mógł trzeci raz.

DORANT:

Tak, pani, pan Jourdain zna się na formach.

PAN JOURDAIN:

Pani, jest to dla mnie niezmierną chwałą ujrzeć się dość szczęśliwym, aby dostąpić tej radości spotkania się z tym szczęściem, iż jesteś tak łaskawą uszczęśliwić mnie tą łaską, aby mi uczynić zaszczyt zaszczytowania mnie dobrodziejstwem swej obecności. I gdyby jeszcze skromne me zalety zalecić mnie mogły w oczach osoby tak wysokich zalet i gdyby niebo... zazdrosne o me szczęście... chciało mnie obdarzyć... szczęściem ujrzenia się godnym... tych...

DORANT:

Ależ dosyć już, kochany panie Jourdain. Pani markiza nie lubi długich ceremonij, a wie dobrze, że panu na dowcipie nie zbywa, (*po cichu do Dorymeny*) Jak pani widzi, dosyć sobie pocieszna figura — ot, łyczek<sup>4</sup>.

DORYMENA:

Nietrudno to spostrzec.

DORANT:

Pani, przedstawiam ci mego najlepszego przyjaciela.

PAN JOURDAIN:

Zbytek zaszczytu, doprawdy, panie hrabio.

DORANT:

Człowieka wykwiutnego w każdym calu.

DORYMENA:

Mam dla niego wiele szacunku.

PAN JOURDAIN:

Nic jeszcze nie uczyniłem, pani, aby zasłużyć na tę wielką łaskę.

DORANT:

Niechże panu nie przyjdzie do głowy wspominać o diamencie, któryś jej ofiarował.

PAN JOURDAIN:

Czy nie mógłbym się choć zapytać, jak się jej podoba?

DORANT:

Cóż znowu! Niech pana Bóg broni! To byłaby najwyższa niedelikatność; jeżeli chcesz się okazać dobrze wychowanym, powinieneś zachować się tak, jakby ten podarek zgoła nie pochodził od ciebie.

Pan Jourdain, markizo, mówi, że jest uszczęśliwiony z twoich łaskawych odwiedzin.

DORYMENA:

Zaszczyt mi czyni prawdziwy.

PAN JOURDAIN:

Ileż wdzięczności, panie hrabio, że tak wyrażasz za mnie moje uczucia!

DORANT:

Kosztowało mnie niemało trudu, aby ją tu przyprowadzić.

PAN JOURDAIN:

Nie wiem, jak się odwdzięczyc, panie hrabio.

DORANT:

Pan Jourdain mówi, że jeszcze w życiu nie widział równie pięknej osoby.

DORYMENA:

Bardzo jest łaskaw.

PAN JOURDAIN:

Pani, łaska cała po mojej stronie i...

DORANT:

A teraz do stołu!

---

<sup>4</sup>łyczek — zdrobn. od daw. *łyk*: mieszczanin; mieszczanie nosili ubrania *łyczakowe* (lniane, zazwyczaj żółtej barwy), w przeciwieństwie do *karmazynów*, czyli zamożnej szlachty noszącej czerwone żupany z wykwiutniejszych materiałów.

SCENA XX

*Pan Jourdain, Dorymena, Dorant, Lokaj*

LOKAJ:

Wszystko gotowe, proszę pana.

DORANT:

Chodźmy tedy i niech zawołają grajków!

SCENA XXI

*SCENA BALETOWA (sześciu kucharzy, którzy zgotowali ucztę, wykonuje taniec, po czym przynoszą stół zastawiony różnymi potrawami)*

## AKT CZWARTY

### SCENA I

*Dorymena, Pan Jourdain, Dorant, Trzech śpiewaków, Lokaje.*

DORYMENA:

Co ja widzę! Dorancie, ależ to prawdziwa uczta!

PAN JOURDAIN:

Pani markiza raczy sobie żartować; pragnąłbym, aby ten posiłek był godniejszy jej łaskawej pochwały.

*(Dorymena, pan Jourdain, Dorant i trzej śpiewacy zasiadają do stołu)*

DORANT:

Pan Jourdain ma słuszność, markizo, i wdzięczny mu jestem, że tak dobrze sprawuje honory domu. Podzielał najzupełniej jego zdanie, iż zastawa nie jest bynajmniej godną pani. To ja nią kierowałem, daleko mi zaś do doświadczenia, jakie w tym względzie posiadają niektórzy z naszych przyjaciół. Nie spotkasz się tedy, pani, z czymś bardzo kunsztownym, przeciwnie, znajdziesz niejedną występki przeciw prawdom kulinarnym i niejedną niegramatyczność na punkcie dobrego smaku. Gdyby Damis, nasz przyjaciel, zajął się był tą sprawą, wszystko byłoby jak należy, jaśniałoby samą wytwornością i sztuką. Nie omieszkałby on sam skierować twojej uwagi na każdą potrawę i dałby ci sposobność podziwiania jego wysokiego uzdolnienia w umiejętności smakowitków. Zwróciłby twoje spojrzenia na chleb, cały o złocistej skórce, wszędzie równo wypieczony, chrupiący mile pod twymi ząbkami, na wino o aksamitnym połysku, napelniające błogim ciepłem, a nieuderzające zbyt do głowy, na ćwiartkę baraniny, szpikowanej pietruszką, na pieczeń z normandzkiego cielątka, białą, delikatną, która w ustach się rozplywa jak pasztet, na kuropatwy pachnące tak rozkosznie, a na zakończenie na wyborną zupę na bulionie, której towarzyszy młody tłusciutki indyk, otoczony gołąbkami i ozdobiony białą cebulką z domieszką różnorodnej sałaty. Co do mnie jednak, muszę się przyznać do swego braku znawstwa i, jak pan Jourdain... dobrze się wyraził, pragnąłbym, aby ta uczta była godniejszą pani.

DORYMENA:

Mogę na to tylko odpowiedzieć, zjadając, jak pan widzi.

PAN JOURDAIN:

Ach, cóż za śliczne rączki!

DORYMENA:

Nic w nich szczególnego, panie Jourdain... Chce pan raczej mówić o diamencie, który jest prześliczny.

PAN JOURDAIN:

Ja, pani? Niech mnie Bóg broni, abym miał o tym wspominać! To by znaczyło okazać brak wychowania! Ten diament, to rzecz tak mizerna...

DORYMENA:

Ależ z pana wybredny człowiek!

PAN JOURDAIN:

Zbyt pani łaskawa, doprawdy...

DORANT:

Dalej, nalejcie wina panu Jourdain i tym panom, którzy będą tak uprzejmi zaśpiewać nam jaką piosenkę przy kielichu.

DORYMENA:

Nie można lepiej zaprawić dobrej uczyty, niż przeplatając ją muzyką; doprawdy, jestem oczarowana przyjęciem.

PAN JOURDAIN:

Pani markizo, to nie...

DORANT:

Panie Jourdain, posłuchajmy teraz chwilę tych panów: to, co oni zanucą, będzie z pewnością wymowniejsze niż wszystko, co moglibyśmy powiedzieć.

Uczta, Jedzenie

## PIERWSZY I DRUGI ŚPIEWAK :

Odważnie, piękna Filis, weź puchar do ręki:  
 Jakże szkarłatnie trunek i liczko się płoni!  
 Wino nowego czaru nabiera w twej dłoni,  
 A razem nowym życiem ubarwia tve wdzięki.  
 Przysiążmy więc miłością nigdy niezgaszoną,  
 Kochać się wiecznie: ty, i ja, i ono.

Jak się ono czerwieni, wilżąc usta twoje,  
 Jak twe usta się odeń barwią purpurowe!  
 Na ten widok tak luby z szczęścia tracę głowę  
 I do moich ust chciałbym przytulić oboje!  
 Przysiążmy więc miłością nigdy niezgaszoną,  
 Kochać się wiecznie: ty, i ja, i ono.

## DRUGI I TRZECI ŚPIEWAK :

Pijmy, drodzy przyjaciele!  
 Szkoda chwili, co ucieka,  
 Wszak życia nam tak niewiele:  
 Któż wie, co jutro go czeka?

Gdy nurt nas czarny pochłonie,  
 Koniec już wina, miłości —  
 Niech oko trunkiem zapłonie,  
 Niechaj żar w piersiach zagości!

Niech głupcy walczą na słowa,  
 Gdzie szczęściu stawiać ołtarze —  
 Nas uczy prawda nienowa,  
 Że ono mieszka w pucharze.

Nauka, sława i mienie  
 Sercu nie odejmą troski:  
 Szczęście, spokój, zapomnienie  
 Daje tylko trunek boski.

## WSZYSCY TRZEJ :

Wina, hej, wina! Gdzie wino?  
 Lej, chłopcze, nie daj się prosić,  
 Lej ciągle, dobry chłopczyno,  
 Póki nie krzykną ci: dosyć!

## DORYMENA :

Prześliczna piosnka; nie można chyba lepiej jej zaśpiewać. Wszystko to piękne jest nad wyraz.

## PAN JOURDAIN :

Widzę tu, pani, coś, co jest jeszcze piękniejsze.

## DORYMENA :

Ejże! Z pana Jourdain większy galant, niż sobie wyobrażałam.

## DORANT :

Jak to, pani? Za kogóż pani bierze pana Jourdain?

## PAN JOURDAIN :

Chciałbym bardzo, aby mnie wzięła za to, co ja myślę.

## DORYMENA :

Jeszcze?

## DORANT :

Pani go nie zna.

PAN JOURDAIN:

Może mnie pani poznać, kiedy tylko jej przyjdzie ochota.

DORYMENA:

Och, poddam się: trudno z panem walczyć na słowa.

DORANT:

To człowiek, który ma zawsze ciętą odpowiedź na języku. Ale czy pani nie widzi, że pan Jourdain polyka wszystkie kąski, których pani dotknęła.

DORYMENA:

Pan Jourdain jest czarujący.

PAN JOURDAIN:

Gdybym mógł oczarować serce pani, byłbym...

## SCENA II

*Pani Jourdain, Pan Jourdain, Dorymena, Dorant, Śpiewacy, Lokaje*

PANI JOURDAIN:

Ho, ho, zastaję tu oto wcale wesołą kompanijkę i widzę jasno, że mnie nie oczekiwano! To dla tej ładnej zabawy, szanowny panie mężu, tak ci było pilno wyprawić mnie do siostry? Na dole spotykam cały teatr, a tutaj, jak się zdaje, ucztę weselną. Więc ty w ten sposób trwonisz swoje mienie? W ten sposób ugaszczasz sobie damule w mej nieobecności, wyprawiasz dla nich muzyki i komedie, gdy mnie wysyłasz z domu na spacer?

DORANT:

Co pani do głowy przychodzi, pani Jourdain? Cóż za dzika fantazja z pani strony, uroić sobie, że mąż trwoni majątek i że to on wydaje tę ucztę?... Dowiedz się pani zatem, że to ja; on użył mi jedynie swego domu. Powinna by się pani bardziej zastanowić nad tym, co pani mówi.

PAN JOURDAIN:

Tak, błaznico, to pan hrabia zgotował wszystko dla pani, która jest osobą z najwyższego towarzystwa. Uczynił mi ten zaszczyt, iż użył w tym celu mego domu i zaprosił mnie laskawie w gościnę.

PANI JOURDAIN:

To są czyste ambaje, a ja wiem dobrze, co wiem.

DORANT:

Niech pani przywdzieje lepsze okulary, pani Jourdain!

PANI JOURDAIN:

Obejdę się bez okularów, mój panie, i widzę dosyć jasno, co się święci. Już od dawna zwąchałam pismo nosem; nie jestem taka głupia, jak wam się wydaje. To bardzo szpetnie z pańskiej strony, takiego wielkiego pana, służyć za pośrednika mężowi w jego łajdactwach. A i pani, takiej wielkiej damie, wcale nie przystało zaszczeptać niesnaski w małżeństwie i cierpieć, aby mąż durzył się w pani.

DORYMENA:

Cóż to wszystko ma znaczyć? Czy ty drwisz sobie ze mnie, Dorancie, aby mnie narażać na niedorzeczne urojenia tej wariatki?

DORANT:

Markizo, racz się zatrzymać! Dokąd pani spieszy?

PAN JOURDAIN:

Pani markizo... Panie hrabio, chciej ją przeprosić w mym imieniu i staraj się skłonić do powrotu!

## SCENA III

*Pan Jourdain, Pani Jourdain, Lokaje*

PAN JOURDAIN:

A, ty, błaznico jedna! Ładnegoś piwa nawarzyła! Ty się ośmielasz lżyć mnie w oczy przy gościach i wypędzać z mego domu dystygowane osoby!

PANI JOURDAIN:

Kpię sobie z takiej dystynkcji.

Żona

PAN JOURDAIN:

Nie wiem, co mnie wstrzymuje, babo przekłeta, abym ci nie potrzaskał na łbie półmisków z tej uczty, którą przybyłaś zakłócić! (*lokaje wynoszą stół*)

PANI JOURDAIN:

Kpię sobie z tego wszystkiego. Bronię swoich praw w domu i nie ma kobiety, która by mi nie przyznała słuszności.

PAN JOURDAIN:

Dobrze czynisz, uchodząc przed moim gniewem.

#### SCENA IV

*Pan Jourdain (sam)*

PAN JOURDAIN:

Diabli ją nanięli tak nie w porę. Właśnie zaczęły mi się udawać takie ładne powiedzenia; nigdy jeszcze nie czułem się tak pełen dowcipu. Cóż to znów za figura?

#### SCENA V

*Pan Jourdain, Covielle (przebrany)*

COVIELLE:

Panie, nie wiem, azali mam zaszczyt być mu znanym?

PAN JOURDAIN:

Nie, panie.

COVIELLE:

Znałem pana, kiedy pan był jeszcze, o, tyli, nie większy.

PAN JOURDAIN:

Mnie?

COVIELLE:

Tak. Był z pana najładniejszy dzieciak pod słońcem: wszystkie damy brały pana na ręce, aby cię upieścić.

PAN JOURDAIN:

Aby mnie upieścić?

COVIELLE:

Tak. Byłem wielkim przyjacielem nieboszczyka pańskiego ojca.

PAN JOURDAIN:

Nieboszczyka mego ojca?

COVIELLE:

Tak. Był to bardzo zacny szlachcic.

PAN JOURDAIN:

Jak pan powiada?

COVIELLE:

Powiadam, że był to bardzo zacny szlachcic.

PAN JOURDAIN:

Mój ojciec?

COVIELLE:

Tak.

PAN JOURDAIN:

Dobrze go pan znałeś?

COVIELLE:

Oczywiście.

PAN JOURDAIN:

I znałeś jako szlachcica?

COVIELLE:

Rozumie się.

PAN JOURDAIN:

Nie, jacy to ludzie są, doprawdy!



COVIELLE:

Jak to?

PAN JOURDAIN:

Istnieją cymbały, którzy chcą we mnie wmówić, że on był kupcem.

COVIELLE:

On, kupcem! To czysta potwarz: nigdy mu się nie śniło być kupcem. Tyle tylko w tym prawdy, że był to człowiek niezmiernie uprzejmy, niezmiernie uczynny; że zaś znał się bardzo dobrze na suknach, wybierał je, gdzie tylko mógł, kazał do siebie przysyłać i odstępował je znajomym za zapłatą.

PAN JOURDAIN:

Niezmiernie się cieszę, że pana poznałem; mam nadzieję, iż zechcesz zaświadczyć przed wszystkimi, że mój ojciec był szlachcicem.

COVIELLE:

Powiem to w oczy całemu światu.

PAN JOURDAIN:

Serdecznie będę wdzięczny. Cóż pana tu sprowadza?

COVIELLE:

Od czasu, jak znałem nieboszczyka pańskiego ojca, najgodniejszego szlachcica, jak panu mówiłem, podróżowałem trochę, ot, tak, po całym świecie.

PAN JOURDAIN:

Po całym świecie?

COVIELLE:

Tak.

PAN JOURDAIN:

To musi być bardzo daleko.

COVIELLE:

Myślę sobie. Zaledwie przed czterema dniami wróciłem z odległych podróży, że zaś wszystko, co pana dotyczy i mnie niezmiernie obchodzi, przyszedłem, aby panu zwiastować najszczęśliwszą nowinę pod słońcem.

PAN JOURDAIN:

Jakąż?

COVIELLE:

Czy wiesz, że syn sultana tureckiego bawi w mieście?

PAN JOURDAIN:

Ja? Nie.

COVIELLE:

Jak to? Przybył wraz ze swoim wspaniałym orszakiem; wszystko spieszy go oglądać; przyjmują go w tym kraju z wszelkimi zaszczytami należnymi tak potężnemu władcy.

PAN JOURDAIN:

Na honor, nic nie wiedziałem.

COVIELLE:

Ale co najważniejsze, to, iż się zakochał w twej córce.

PAN JOURDAIN:

Syn sultana tureckiego?

COVIELLE:

Tak, i chce zostać pańskim zięciem.

PAN JOURDAIN:

Moim zięciem syn sultana tureckiego?

COVIELLE:

Syn sultana tureckiego pańskim zięciem. Byłem mu złożyć czołobitność, że zaś mówię doskonale ich językiem, rozmawiał ze mną dość długo i wśród tej gawędki powiedział: *Akciam krok soler onch alla mustaf gidelum amanahem narabini ussere kalbulalt*, co znaczy: Czy nie znasz przypadkiem młodej osoby, która jest córką pana Jourdain, paryskiego szlachcica?

PAN JOURDAIN:

Syn sultana tureckiego powiedział tak o mnie?

COVIELLE:

Tak. Gdy mu odpowiedziałem, że pana znam bardzo dobrze i że widziałem pańską córkę, rzekł: *Ach, marababa sabem!* — znaczy: Ach, jakże jestem w niej zakochany!

PAN JOURDAIN:

*Marababa sabem* znaczy: Ach, jakże jestem w niej zakochany?

COVIELLE:

Tak.

PAN JOURDAIN:

Daję słowo, dobrze, żeś mi to powiedział bo, co do mnie, nigdy bym się nie domyślił, że *marababa sabem* ma znaczyć: Ach, jakże jestem w niej zakochany! Cóż to za piękny język!

COVIELLE:

Dużo piękniejszy jeszcze, niż się komu śniło. Czy wiesz pan, na przykład, co znaczy *kakarakamuchen*?

*Kakarakamuchen*? Nie.

COVIELLE:

To znaczy: moje drogie serce.

PAN JOURDAIN:

*Kakarakamuchen* znaczy: moje drogie serce?

COVIELLE:

Tak.

PAN JOURDAIN:

Ależ to cudowne! *Kakarakamuchen*: moje drogie serce. Kto by to powiedział? Człowiek głupiej, doprawdy.

COVIELLE:

Słowem, aby się wywiązać z poselstwa, donoszę panu, iż on ma zamiar prosić pana o rękę córki; pragnąc zaś mieć teścia, który by był godnym jego powinowactwa, chce pana zamianować *mamamuszi*, co stanowi jedną z najwyższych godności w jego kraju.

PAN JOURDAIN:

*Mamamuszi*?

COVIELLE:

Tak, *mamamuszi*; to znaczy po naszymu: wojewoda. Wojewoda to jeden z owych dawnych... słowem, wojewoda. Nie może być nic dostojniejszego w świecie; godność ta zrówna cię co do stanowiska z największymi panami w kraju.

PAN JOURDAIN:

Syn sultana tureckiego wyświadcza mi prawdziwy zaszczyt. Proszę cię, chciej mnie zaprowadzić do niego, abym mógł wyrazić mu podziękę!

COVIELLE:

Jak to? Ależ on sam przybędzie tu za chwilę.

PAN JOURDAIN:

On sam przybędzie?...

COVIELLE:

Tak, i prowadzi z sobą wszystko, co jest potrzebne do ceremonii pańskiego mianowania.

PAN JOURDAIN:

Ależ to szybko idzie!

COVIELLE:

Miłość jego nie chce słyszeć o najmniejszej odwłóce.

PAN JOURDAIN:

Jedno tylko mnie niepokoi: to, że moja córka, bardzo uparta dziewczyna, nabiła sobie głowę niejakim Kleontem i przysięgła, że nie pójdzie za nikogo innego.

COVIELLE:

Odmieni zdanie, skoro zobaczy syna sultana tureckiego. Przy tym zachodzi tu do prawdy dziwny zbieg okoliczności: mianowicie syn sultana podobny jest do tego Kleonta jak dwie krople wody — przed chwilą widziałem go właśnie, pokazano mi go — miłość zatem, którą córka pańska żywi dla jednego, z łatwością może się przenieść na drugiego. Ale słyszę głosy — otóż i on.

## SCENA VI

*Kleont jako Turek, Trzech paziów niosących ogon szaty Kleonta, Pan Jourdain, Covielle*

KLEONT:

*Ambusahim oki boraf, Żordina, salamaleki.*

COVIELLE:

To znaczy: Panie Jourdain, oby twe serce było przez cały rok jako kwitnący krzak róży.

To są takie uprzejme sposoby mówienia w tym kraju.

PAN JOURDAIN:

Jestem najniższym sługą jego tureckiej wysokości.

COVIELLE:

*Kazigar kamboto ustin moraf.*

KLEONT:

*Ustin yot katamaleki basum base alla moran.*

COVIELLE:

Mówi: Oby niebo dało ci siłę lwa i roztropność węża.

PAN JOURDAIN:

Jego turecka wysokość jest na mnie zbyt łaskawa; życzę jej wzajem wszelkich pomyslności.

COVIELLE:

*Ossa binamen sadok babulli orakaf uram.*

KLEONT:

*Bel men*

COVIELLE:

Mówi, abys się z nim natychmiast udał przygotować wszystko do ceremonii oraz że pragnie jak najprędzej ujrzeć twą córkę i zawrzeć małżeństwo.

PAN JOURDAIN:

Tyle rzeczy w dwóch słowach?

COVIELLE:

Tak. Język turecki już jest taki: umie dużo wyrazić w niewielu zgłoskach. Spiesz pan z nim prędko tam, gdzie sobie życzy!

## SCENA VII

*Covielle (sam)*

COVIELLE:

Ha, ha, ha! Słowo daję, to można pęknać ze śmiechu. Cóż za bałwan! Gdyby na pamięć wyuczył się roli, nie mógłby jej lepiej odegrać. Och, och!

## SCENA VIII

*Dorant, Covielle*

COVIELLE:

Śmiem pana upraszać, abys nam zechciał pomóc w małej intryżce, którą właśnie prowadzimy.

DORANT:

Aj, wszak to imć Covielle? Któż by cię poznał w tej postaci! Coś ty z siebie zrobił, człowieku?

COVIELLE:

Co pan widzi. Ha, ha!

DORANT:

Z czegoś się tak śmiejesz?

COVIELLE:

Jest z czego, niech mi pan wierzy!

DORANT:

Cóż takiego?

Słowo

COVIELLE:

Mógłby pan hrabia długo sobie głowę łamać, nim by się domyślił, jakiegośmy się chwycili podstęp, aby nakłonić pana Jourdain do oddania ręki córki memu panu.

DORANT:

Nie wiem, co to za podstęp, ale domyślam się, że nie chybi celu, skoro ty doń rękę przykładasz.

COVIELLE:

Widzę, że pan zna dobrze naszego mądralę.

DORANT:

Objasnijże mnie więc, o co chodzi.

COVIELLE:

Niech pan będzie łaskaw usunąć się nieco, aby zrobić miejsce orszakowi! Może pan oglądać naocznie część naszej sztuczki, resztę zaś panu opowiem.

#### SCENA IX

*Ceremonia turecka<sup>5</sup>. Mufti, Derwisze, Turcy, stanowiący orszak Muftiego, tańczący i śpiewający. Pierwsza grupa baletowa.*

*(sześciu Turków wchodzi poważnie parami przy dźwiękach orkiestry. Niosą trzy dywany, które podnoszą bardzo wysoko i tańcząc wykonują rozmaite figury. Turcy śpiewający przechodzą pod dywanami i ustawiają się po dwóch stronach sceny. Mufti w towarzystwie derwiszów zamyka pochód. Następnie Turcy rozciągają dywany na ziemi i klękają na nich z wyjątkiem Muftiego i derwiszów, którzy zachowują pozycję stojącą. Podczas gdy Mufti przyzywa Mahometę, wykonując różne gesty i miny, nie wymawiając jednak ani słowa, Turcy stanowiący jego orszak nachylają się aż do ziemi, śpiewając „Alli”, po czym wznoszą ramiona w górę, śpiewając „Alla”. Tę grę powtarzają aż do końca modłów Muftiego, po czym powstają wszyscy, śpiewając „Alla ekber”, dwaj zaś derwisze podchodzą do pana Jourdain).*

#### SCENA X

*Mufti, Derwisze, Turcy śpiewający i tańczący, Pan Jourdain, ubrany po turecku z ogoloną głową, bez turbana i bez szabli.*

MUFTI:

Se ti wiada  
Gada, gada,  
Se non wiada  
Ne powiada.

Mi był Mufti,  
Tu kilicha?  
Ne pojmajesz;  
Ticha, ticha!<sup>6</sup>

*(dwaj derwisze wyprowadzają pana Jourdain)*

#### SCENA XI

*Mufti, Derwisze, Turcy*

MUFTI:

Gada, Turka, qui był ista? Anabatista? Anabatista?

TURCY

Iok.

<sup>5</sup>*Ceremonia turecka* — Język użyty przez Moliere w *Ceremonii tureckiej* nie jest fantastyczny, jak poprzednia tureczyzna. Jest to mieszanina złożona z arabskiego, tureckiego, maltańskiego, francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego, którą posługują się mieszkańcy Wschodu dla porozumienia z Europejczykami. W przekładzie trzeba było znaleźć jakiś równoważnik; tłumacz szukał go w makaronicznej i zepsutej polszczyźnie.

<sup>6</sup>*Se ti wiada (...) ticha* — Znaczy to: „Jeżeli wiesz, mów; jeżeli nie wiesz, milcz. Ja jestem Mufti; ty kto? Nie rozumiesz; milcz, milcz”.

MUFTI:  
 Zwinglista?  
 TURCY  
 Iok.  
 MUFTI:  
 Koffita?  
 TURCY  
 Iok.  
 MUFTI:  
 Hussita? Morista? Fronista?  
 TURCY  
 Iok, iok, iok.  
 MUFTI:  
 Iok, iok, iok. Był pagana?  
 TURCY  
 Iok.  
 MUFTI:  
 Luterana?  
 TURCY  
 Iok.  
 MUFTI:  
 Puritana?  
 TURCY  
 Iok.  
 MUFTI:  
 Bramina? Moffina? Zurina?  
 TURCY  
 Iok, iok, iok.  
 MUFTI:  
 Iok, iok, iok. Mahametana? Mahametana?  
 TURCY  
 Ahi, alla, Ahi, alla.  
 MUFTI:  
 Jako zwala? Jako zwala?  
 TURCY  
 Żurdina, Żurdina.  
 MUFTI:  
 Żurdina, Żurdina.  
 TURCY  
 Żurdina, Żurdina<sup>7</sup>.  
 MUFTI:

Mahameta, per Żurdina  
 Ja se modli kaźdhodina.  
 Bende czyni paladina  
 De Żurdina, de Żurdina;  
 Dar turbana e szablina,  
 Con galera brigantina  
 Per obrrona Palestina.<sup>8</sup>

<sup>7</sup>*Gada, Turka (...)* Żurdina — znaczy to: „Mów, Turku, kto on jest? Anababtysta? — Nie. — Zwinglista? (wyznawca sekty protestanckiej Zwingli'ego) — Nie. — Koffita (chrześcijanie egipscy z sekty jakobitów?) — Nie. — Hussyta, morysta (Maur), Fronista (sektka kontemplacyjna)? — Nie, nie, nie. — Czy poganin? — Nie. — Luteranin? — Nie. — Purytanin? — Nie. — Bramina (bramin)? — Moffina, Zuryna (prawdopodobnie wymyślone)? — Nie, nie, nie. — Mahometanin? — *Hi valla* (po arabsku: „Tak, na Boga”). Jak się nazywa? — Jourdain, Jourdain.

<sup>8</sup>*Mahameta, per Żurdina (...)* Palestina. — znaczy to: „Mahomecie, w każdej godzinie będę się modlił za pana Jourdain. Uczynię z pana Jourdain wojewodę. Dam mu turban i szablę wraz z galerą i brygantyną, aby bronił Palestyny”.

Mahameta, per Żurdina  
Ja se modli kaźdhodina.

Był bon Turka Żurdina?<sup>9</sup>

TURCY

Ahi, alla,<sup>10</sup> Ahi, alla.

MUFTI:

Ha la ba, ba la hu, la ba, ba la da.

TURCY

Ha la ba, ba la hu, ba la ba, ba la da.

## SCENA XII

*Turcy śpiewający i tańczący. Druga grupa baletowa*

## SCENA XIII

*Mufti, Derwisze, Pan Jourdain, Turcy śpiewający i tańczący.*

*Mufti wraca w uroczystym turbanie olbrzymich rozmiarów, przystrojonym kilkoma rzędami zapalonych świec; towarzyszy mu dwóch derwiszów, niosących Alkoran, ubranych w szpiczaste czapki, również przystrojone płonącymi świecami. Dwaj inni derwisze przyprowadzają pana Jourdain, każą mu klęknąć i oprzeć ręce o podłogę w ten sposób, że jego grzbiet, na którym spoczywa Alkoran, służy za pulpit Muftiemu. Mufti odprawia po raz wtóry swoje komiczne modły, marszcząc brwi, uderzając od czasu do czasu w Alkoran i przewracając szybko kartki, po czym wznosząc ramiona ku niebu, krzyczy donośnym głosem: Hu! Podczas tych ponownych modłów Turcy, schylając się i podnosząc na przemian, śpiewają również: Hu, hu, hu!*

PAN JOURDAIN:

*(podnosząc się, gdy mu zdjęto Alkoran z grzbietu)* Uff!!

MUFTI:

*(do pana Jourdain)* Ti non byl oszusta?

TURCY

No, no, no.

MUFTI:

Non byl szelma?

TURCY

No, no, no.

MUFTI:

*(do Turków)* Dawar turbanta.

TURCY

Ti non byl oszusta?

No, no, no.

Non byl szelma?

No, no, no.

Dawar turbanta<sup>11</sup>.

## TRZECIA GRUPA BALETOWA

*(Turcy, tańcząc przy dźwiękach orkiestry, wkładają turban na głowę pana Jourdain)*

MUFTI:

Ti byl noble, non e fabla,

Bery oto tetu schiabbła.

<sup>9</sup>Był bon Turka Żurdina? — znaczy to: „Czy Jourdain jest dobrym Turkiem?”.

<sup>10</sup>Ahi, alla, — Tak, na Allaha.

<sup>11</sup>Ti non byl oszusta? (...) Dawar turbanta — ma znaczyć: „Nie jest oszust? — Nie. — Nie jest szelma? — Nie. — Dawajcie turban”.

TURCY

Ti byl noble, non e fabla,  
Bery oto tetu schiabbła<sup>12</sup>.

*Czwarta grupa baletowa, Turcy tańczący uderzają rytmicznie szablami pana Jourdain.*

MUFTI:

Ładu, ładu,  
Kijdozadu;  
Ładu, ładu,  
Kijdozadu.

*Piąta grupa baletowa*

*(Turcy tańczący biją w rytm muzyki pana Jourdain kijami)*

MUFTI:

Nefstydała, nefstydała;  
Więcy gańba nesasnała.

TURCY

Nefstydała, nefstydała,  
Więcy gańba nesasnała.

*(Mufti rozpoczyna trzecią część modłów. Derwisze podtrzymują go ze czią pod ramiona, po czym Turcy, tańczący i śpiewający, skaczą wokół Muftiego i wychodzą wraz z nim, pociągając ze sobą pana Jourdain)*

---

<sup>12</sup>Ti byl noble (...) tetu schiabbła — ma znaczyć: „Jesteś szlachcicem, to nie bajka; bierz oto tę tu szablę”.

## AKT PIĄTY

### SCENA I

*Pan Jourdain, Pani Jourdain*

PANI JOURDAIN:

Jezusie, Maryjo! Miłosierdzie Pańskie! A to znów co takiego? Jak ten wygląda! Błazna z siebie robisz? Czy teraz pora na maskarady? Mówże, co to ma znaczyć? Któż cię tak wystroił?

PAN JOURDAIN:

Patrzcie mi tę małpę! W jaki ty sposób przemawiasz do *mamamuszi*?

PANI JOURDAIN:

Co takiego?

PAN JOURDAIN:

Tak, teraz trzeba być dla mnie z całym szacunkiem: świeżo zostałem mianowany *mamamuszi*.

PANI JOURDAIN:

Co to ma znaczyć: *mamamuszi*?

PAN JOURDAIN:

*Mamamuszi*, powiadam. Jestem *mamamuszi*.

PANI JOURDAIN:

Cóż to za bydlę?

PAN JOURDAIN:

*Mamamuszi* znaczy po naszymu: wojewoda.

PANI JOURDAIN:

Woziwoda? Ty chcesz na starość zostać woziwodą?

PAN JOURDAIN:

Cóż za ciemnota! Wojewoda, powiadam. Właśnie odprawiono nade mną uroczystość.

PANI JOURDAIN:

Co za uroczystość?

PAN JOURDAIN:

*Mabameta per Żurdina*.

PANI JOURDAIN:

Cóż to ma znaczyć?

PAN JOURDAIN:

*Żurdina* to niby Jourdain.

PANI JOURDAIN:

No i cóż, niby Jourdain?

PAN JOURDAIN:

*Bende czyni paladina de Żurdina*.

PANI JOURDAIN:

Jak powiadasz?

PAN JOURDAIN:

*Dar turbanta con galera*.

PANI JOURDAIN:

Cóż to takiego?

PAN JOURDAIN:

*Per obrrrona Palestina*.

PANI JOURDAIN:

Co tobie, człowieku, w głowie?

PAN JOURDAIN:

*Ładu, ładu, kijdozadu*.

PANI JOURDAIN:

Cóż to za szwargot?

PAN JOURDAIN:

*Nefstydala, nefstydala, więcy garība nesasnala*.



PANI JOURDAIN:

Cóż to ma być to wszystko?

PAN JOURDAIN:

Hu la ba, ba la hu, ba la ba, ba la da.

PANI JOURDAIN:

Och, Boże mój, Boże! Mąż oszalał!

PAN JOURDAIN:

Milczeć, jędo! Więcej szacunku dla wielkiego *mamamuszi*.

PANI JOURDAIN:

Od czegoż on mógł rozum tak postradać? Spieszmy, aby go przynajmniej zatrzymać w domu!

Masz, tych mi jeszcze brakowało. Ze wszystkich stron same utrapienia!

## SCENA II

*Dorant, Dorymena*

DORANT:

Niech mi pani wierzy, zobaczy pani najzabawniejszą rzecz pod słońcem — nie sądzę, aby w całym świecie mógł się znaleźć człowiek tak pomyłony. Przy tym trzeba nam koniecznie dopomóc Kleontowi w zamiarach i uświetnić tę maskaradę. To bardzo dzielny człowiek i wart, aby poprzeć jego sprawę.

DORYMENA:

Ja również cenię go wysoko i życzę mu najlepszego losu.

DORANT:

Oprócz tego czeka nas tutaj balet, którego szkoda by stracić: jestem bardzo ciekawy, czy mój pomysł należycie się wyda w wykonaniu.

DORYMENA:

Tak, widziałam już mimochodem wspaniałe przygotowania. Doprawdy, nie mogę dłużej cierpieć tego wszystkiego, Dorancie. Tak, chcę nareszcie położyć koniec twojej rozrzutności i, aby przerwać szalone wydatki, na które się dla mnie narażasz, postanowiłam jak najprędzej wyjść za ciebie. To jedyny sposób: wiadomo, że wszystkie te wysokie uprzejmości kończą się zazwyczaj po ślubie.

DORANT:

Och, pani, naprawdę? Czyżbyś istotnie powzięła tak słodkie postanowienie?

DORYMENA:

To jedynie, aby cię uchronić od ruiny; inaczej, widzę dobrze, straciłbyś wszystko do szeląga.

DORANT:

Jakże wdzięczny ci jestem, pani, za troskliwość, z jaką czuwasz nad moim majątkiem! Składam go u twych stóp wraz z sercem, możesz nimi rozrządzać do woli.

DORYMENA:

Będę się starała dobrze nimi zawiadować. Ale oto i nasz pocziwiec: wygląda doprawdy wspaniale.

## SCENA III

*Pan Jourdain, Dorant, Dorymena*

DORANT:

Panie, pani markiza i ja przychodzimy złożyć hołd pańskiej nowej godności i cieszyć się wraz z tobą małżeństwem twojej córki z synem sultańskim.

PAN JOURDAIN:

Panie hrabio, życzę ci siły węża i roztropności lwa.

DORYMENA:

Cieszę się, że mogę jedna z pierwszych powinszować panu wysokiego szczebla chwały, na który wstąpiłeś.

Małżeństwo, Pieniądz,  
Serce

PAN JOURDAIN:

Pani, życzę ci, aby twój krzak róży kwitnął przez cały rok. Nieskończenie jestem pani wdzięczny za jej łaskawy udział w zaszczytach, które na mnie spływają, cieszę się zarazem niezmiernie, iż mogę panią oglądać z powrotem, aby ją najuniżej przeprosić za wybryki żony.

DORYMENA:

To drobnostka, wybaczam jej najzupełniej podobny wybuch. Serce pańskie musi być bardzo cenne — nic dziwnego, kto posiada takiego męża, ten drży o swoje szczęście.

PAN JOURDAIN:

Prawo do mego serca jest przywilejem, który pani wyłącznie zdobyłaś.

DORANT:

Jak pani widzi, markizo, pan Jourdain nie należy do ludzi, których powodzenie zaślepia: na wyżynach wielkości umie pamiętać o przyjaciółach.

DORYMENA:

Jest to oznaką duszy na wskroś szlachetnej.

DORANT:

Gdzie jego turecka wysokość? Chcielibyśmy bardzo w charakterze pańskich przyjaciół złożyć jej uszanowanie.

PAN JOURDAIN:

Oto właśnie przybywa; posłałem już po córkę, aby dopełnić obrządku małżeństwa.

#### SCENA IV

*Pan Jourdain, Dorymena, Dorant, Kleont jako Turek*

DORANT:

Panie, przychodzimy, aby jako przyjaciele szanownego teścia złożyć waszej wysokości pokorne uszanowanie i zapewnić ją uniesienie o naszych najpoddańszych służbach.

PAN JOURDAIN:

Gdzież tłumacz, aby mógł mu powiedzieć, kto jesteście, i wyłożyć, co powiadacie? Zobaczycie, że wam odpowie; znakomicie mówi po turecku. Gdzież on, u diaska, się podziewa?

*Struf, strif, strof, straf.* Ten pan to *grando segnore, grando segnore, grando segnore*, a pani to *granda dama, granda dama*.

Aha!

Ten pan to francuski *mamamuszi*, a ta pani francuska *mamamuszi*. Nie umiem już jaśniej. No! Jest wreszcie tłumacz.

#### SCENA V

*Pan Jourdain, Dorymena, Dorant, Kleont jako Turek, Covielle przebrany.*

PAN JOURDAIN:

Gdzież pan się podziewasz? Nie możemy się porozumieć bez ciebie.

Wytlumacz mu, że ten pan i ta pani są osobami wysokiego dostojenstwa, które przybyły tutaj w charakterze moich przyjaciół, aby mu złożyć czołobitność i ofiarować służby.

Zobaczycie, jak on na to odpowie.

COVIELLE:

*Alabula krociam aki bor am alabamen.*

KLEONT:

*Kataleki tubol urin soter amaluszan.*

PAN JOURDAIN:

A co! Widzicie?

COVIELLE:

Mówi, aby deszcz pomyślności zraszał o każdej porze ogród pańskiej rodziny.

PAN JOURDAIN:

Mówiłem wam, że gada po turecku.

DORANT:

To doprawdy cudowne.

SCENA VI

*Lucylla, Kleont, Pan Jourdain, Dorymena, Dorant, Covielle*

PAN JOURDAIN:

Chodź, córko, zbliż się i podaj rękę panu, który czyni ci ten zaszczyt, że pragnie cię pojąć za żonę.

LUCYLLA:

Co to? Ojczce, jak ty wyglądasz? Czy wy gracie komedię?

PAN JOURDAIN:

Nie, nie, to nie komedia, to sprawa nader poważna i bardziej dla ciebie zaszczytna, niż mogłabyś marzyć.

LUCYLLA:

Dla mnie, ojczce?

PAN JOURDAIN:

Tak, dla ciebie. Dalej, podaj rękę i podziękuj niebu za szczęście, które ci zsyła!

LUCYLLA:

Ja nie chcę iść za mąż.

PAN JOURDAIN:

Ale ja chcę, ja, ojciec! Słyszysz?

LUCYLLA:

Nic z tego.

PAN JOURDAIN:

Ach, co tu hałasu! Dalej, powiadam. Podaj rękę!

LUCYLLA:

Nie, ojczce powiedziałałam już: nie ma władzy, która by mnie zdołała skłonić do oddania ręki komukolwiek innemu niż Kleontowi i raczej posunę się do wszelkich ostateczności...

To prawda, jesteś moim ojcem: winna ci jestem ślepe posłuszeństwo — do ciebie należy, ojczce, rozrządzać mym losem.

PAN JOURDAIN:

No, cieszę się, że tak prędko wróciłaś na drogę obowiązku; szczęśliwy jestem, że mam posłuszną córkę.

SCENA VII

*Pani Jourdain, Kleont, Pan Jourdain, Lucylla, Dorant, Dorymena, Covielle*

PANI JOURDAIN:

Cóż to? Co tu się dzieje? Powiadają, że chcesz wydać córkę za jakiegoś wędrownego arlekina?

PAN JOURDAIN:

Będziesz ty cicho, zuchwały babski języku! Ciągłe chcesz bruździć? Nie ma żadnego sposobu, aby ci wlać do głowy odrobinę rozsądku?

PANI JOURDAIN:

To ciebie nie ma sposobu przywieść do rozumu: brniesz z jednego szaleństwa w drugie jak opętany. Cóż tobie znów do głowy wpadło? Co znaczy ta cała zgraja?

PAN JOURDAIN:

Chcę wydać córkę za syna sultana tureckiego.

PANI JOURDAIN:

Za syna tureckiego?...

PAN JOURDAIN:

Tak. Złóż mu czolobitność przez tego tłumacza!

PANI JOURDAIN:

Obejdzie się bez tłumacza: powiem mu osobiście i to w sam nos, że nie dostanie mojej córki.

PAN JOURDAIN:

Będziesz ty milczeć, pytam po raz ostatni?

DORANT :  
 Jak to, pani Jourdain! Pani sprzeciwiasz się tak zaszczytnemu związkowi? Nie chcesz przyjąć jej tureckiej wysokości za zięcia?

PANI JOURDAIN :  
 Ech, panie, patrz pan swego nosa!

DORYMENA :  
 To doprawdy zaszczyt, którego nie godzi się odrzucać.

PANI JOURDAIN :  
 I panią również proszę, byś się nie wtrącała do nieswoich rzeczy.

DORANT :  
 Jedynie przyjaźń, jaką jesteśmy przejęci dla pani, każe nam zabierać głos dla jej własnego dobra.

PANI JOURDAIN :  
 Zupełnie się obejdę bez waszej przyjaźni.

DORANT :  
 Patrz pani, oto córka godzi się iść za wolą ojca.

PANI JOURDAIN :  
 Córka godzi się wyjść za jakiegoś Turka?

DORANT :  
 Oczywiście.

PANI JOURDAIN :  
 Zdołała zapomnieć o Kleoncie?

DORANT :  
 Czegóż się nie czyni, aby zostać wielką panią?

PANI JOURDAIN :  
 Udusiłabym ją własnymi rękami, gdyby była w istocie zdolną do czegoś podobnego!

PAN JOURDAIN :  
 Po cóż tyle próżnego gadania! Powiadam ci, że to małżeństwo się odbędzie.

PANI JOURDAIN :  
 A ja powiadam, że się nie odbędzie.

PAN JOURDAIN :  
 Pókiż tego wrzasku?

LUCYLLA :  
 Matko!

PANI JOURDAIN :  
 Precz! Jesteś skończona szelma!

PAN JOURDAIN :  
 Jak to? Łajesz ją za to, że mi jest posłuszna?

PANI JOURDAIN :  
 Tak. Tak samo jest moją córką, jak i twoją.

COVIELLE :  
 Pani!

PANI JOURDAIN :  
 Czegóż ten znów pajac chce ode mnie?

COVIELLE :  
 Słoweczko.

PANI JOURDAIN :  
 Nic mi po twoim słoweczku.

COVIELLE :  
 Panie, jeżeli żona pańska zechce mi użyczyć chwili rozmowy na osobności, przyrzekam, że naklonię ją z łatwością, aby się zgodziła na pańskie zamiary.

PANI JOURDAIN :  
 Nigdy się nie zgodzę.

COVIELLE :  
 Niech mnie pani tylko wysłucha!

PANI JOURDAIN :  
 Nie.

PAN JOURDAIN:  
Wysłuchajże go!

PANI JOURDAIN:  
Nie, nie wysłucham.

PAN JOURDAIN:  
Powie ci.

PANI JOURDAIN:  
Nic nie chcę, aby mi powiedział.

PAN JOURDAIN:  
A to dopiero babski upór! Ubędzie ci co przez to, że z nim pogadasz?

COVIELLE:  
Niech pani tylko posłucha, a potem pani zrobi, co zechce.

PANI JOURDAIN:  
No, cóż więc?

COVIELLE:  
Już od godziny dajemy pani znaki — czy pani nie widzi, że to wszystko jest jedynie po to, aby się dostroić do urojeń pani męża, że mamimy go tylko tym przebraniem i że Kleont właśnie jest synem tureckiego sułtana?

PANI JOURDAIN:  
Ach, tak!

COVIELLE:  
A że ja, Covielle, gram rolę tłumacza?

PANI JOURDAIN:  
A, jeżeli tak, w takim razie ustępuję.

COVIELLE:  
Niech się pani niczym nie zdradzi!

PANI JOURDAIN:  
Dobrze, rzecz załatwiona: zgadzam się.

PAN JOURDAIN:  
No, nareszcie wszyscy przyszedli do rozsądku.  
Widzisz, nie chciałaś słuchać. Wiedziałem dobrze, że on ci wytłumaczy, co to jest syn tureckiego sułtana.

PANI JOURDAIN:  
Wytłumaczył mi dostatecznie i jestem zupełnie zadowolona. Poślijmy więc po reagenta!

DORANT:  
Doskonale, pani Jourdain. Aby zaś pani mogła zupełnie rozpogodzić umysł i wygnać z niego wszelki ślad zazdrości, pragniemy i my, pani markiza i ja, skorzystać z bytności reagenta, by również i nasz związek doprowadzić do skutku.

PANI JOURDAIN:  
Zgadzam się i na to.

PAN JOURDAIN:  
Niby dla zamydlenia oczu?

DORANT:  
Trzeba ją uspokoić tym podstępem.

PAN JOURDAIN:  
Dobrze, dobrze.  
Niechże idą sprowadzić reagenta!

DORANT:  
A teraz, zanim przybędzie i sporządzi kontrakty, pozwólmy się popisać baletowi celem rozweselenia jego tureckiej wysokości.

PAN JOURDAIN:  
Doskonały pomysł. Zajmijmyż miejsca!

PANI JOURDAIN:  
A cóż będzie z Michasią?

PAN JOURDAIN:  
Niechże ją bierze tłumacz, a żonę moją, kto zechce.

COVIELLE:

Panie, dziękuję panu.

Jeśli jest w świecie ktoś, kto ma potężniejszego bzika, pozwolę sobie dać sto batogów.

# BALET NARODÓW

## SCENA I

*Zjawia się człowiek, który rozdaje książeczki, zawierające treść baletu. Najpierw opada go zgraja ludzi, pochodzących z rozmaitych prowincyj, którzy krzyczą w takt muzyki, domagając się książeczek, następnie zaś ściga go trzech natrętów, zastępujących mu drogę wszędzie, gdziekolwiek się ruszy.*

WSZYSCY:

Do mnie, panie! Tu, do mnie! Hej, do mnie, u diaska!  
Książeczkę tu! Hej, książkę! Mnie, jeżeli łaska!

ELEGANT:

Zechciej nas pan wyróżnić spośród tych krzykaczy:  
Książeczkę tutaj — dama o to prosić raczy!

DRUGI ELEGANT:

Hej, panie, panie, przez litość błagamy:  
Książeczkę tutaj dla damy!

ELEGANTKA:

Mój Boże, ludzi sfery znamienitej  
Inaczej nieco traktować się godzi.

DRUGA ELEGANTKA:

Ławki i książki — wszystko się znachodzi,  
Lecz dla panienek lichej konduity.

GASKOŃCZYK:

Hej tam! Dopókiż mam krzyżeć daremnie,  
Już płuco z tego mnie boli!  
Widzisz, jak każdy drwi ze mnie,  
Że tu jak głupiec czekam na swą kolej  
I patrzę, jak chłystek lada  
To, czego mnie odmawiasz, sam dawno posiada.

DRUGI GASKOŃCZYK:

Do stu czartów! Czy mam tu doczekać wieczoru?  
Książkę tu dla mnie! Dla pana barona!  
Zdaje się, że ta pałka pomyłona  
Znać mnie nie miewa honoru.

SZWAJCAR:

Dala mi tu ksionszke zara!  
To od Boga istna kara!  
Ja już sobie gardło zdarła...  
Czy chciała, żeby umarła?  
Czy miał tu czekać do rana?  
Ja myślał, panie, że pan jest pijana.

STARY MIESZCZUCH GADUŁA:

Doprawdy, że, bez wszystkiego,  
Nie rozumiem, panie, tego,  
Ale, z przeproszeniem jego,  
To mi się niezbyt podoba,  
Gdy dziś taka przyszła doba,  
By córki mojej osoba  
Nie miała książeczeki swojej,

By przeczytać, co w niej stoi  
O spektaklu, co się stroi,  
I by familija cała  
Tak przystojnie się odziała  
Po to, by za drzwiami stała;  
To zabawa trochę mała  
I przyznam, że, bez wszystkiego,  
Ale, z przeproszeniem jego,  
Nie rozumiem, panie, tego.

STARA MIESZCZKA GADUŁA:

Tak, to nie do zrozumienia,  
To trzeba nie mieć sumienia!  
I ten tam, co rozruca wkoło bez wytchnienia  
Owe androny,  
To dureń skończony,  
Osioł koronny,  
Cymbał dozgonny,  
Że tak se lekko ocenia  
Pannę, co wdziękiem swojego wejrzenia  
Wszędzie godziwe obudza zachcenia  
I która co patrzeć ino,  
Kiedy zostanie hrabiną.  
To, z przeproszeniem, mimo swe galony  
Osioł koronny,  
Cymbał dozgonny,  
Dureń skończony.

ELEGANCI I ELEGANTKI:

Co za ścisk!  
Co za hałas!  
Ach, cóż za tortury!  
Cóż to za zbiegowisko!  
Cóż to za figury!  
Cóż za gwałt, nieład!  
Cóż za gminne słowa!  
To można zemdleć!  
Och, och, moja głowa!

GASKOŃCZYK:

Już nie strzymam, do kroćset!

DRUGI GASKOŃCZYK:

Wścieknę się, u czarta!

SZWAJCAR:

Ciągle nic nie chce słuchać ta szlowiek uparta.

GASKOŃCZYK:

Ja już umieram.

DRUGI GASKOŃCZYK:

Nie czuję się wcale.

SZWAJCAR:

Ja już chciałaby bardzo wydostać z te sale.

STARY MIESZCZUCH GADUŁA:

Bierz czart całe igrzysko!  
Chodźmy już, moje złoto,  
Proszę cię tylko o to,



Trzymaj się za mną blisko!  
Choć szedłem tu z ochotą,  
Jeszcze nie spadł tak nisko,  
Żeby siedzieć tu po to,  
Jakby na pośmiewisko,  
I słuchać, co kpy plotą  
Od kilku godzin blisko.  
Niech mi ręka odgnije,  
Gdy ujrzy oko czyje,  
Bym wrócił, póki żyję,  
Na takie komedye.  
Chodźmy już, moje złoto,  
Proszę cię tylko o to,  
Trzymaj się za mną blisko!  
Bierz czart całe igrzysko,  
Nie z nas tu będą sobie robić pośmiewisko!

STARA MIESZCZKA GADUŁA:

Chodźmy, mężusiu drogi,  
Wróćmy w domowe progi!  
Gorąc, ścisk, zaduch srogi,  
Człeku podepcą nogi;  
Też mi jakieś rarogi!  
Koncept głupi a drogi.  
Zanadto wielki rozgardiasz w tych salach —  
Z dwojga złego już wolę być na targu w halach.  
Gdy mnie kto jeszcze zdybie na takim igrzysku,  
Pozwalam, niech mnie z miejsca wypierze po pysku!  
Chodźmy, mężusiu drogi,  
Wróćmy w domowe progi!  
Też mi jakieś rarogi!  
Koncept głupi a drogi.

WSZYSCY:

Do mnie, panie! Tu, do mnie! Hej, do mnie, u diaska!  
Książeczkę tu! Hej, książkę mnie, jeżeli łaska!

SCENA II

*Trzej natręci wykonują taniec*

SCENA III

TRZEJ HISZPANIE:

Choć miłość ta grób mi wróży,  
Ja kocham niedole moje,  
Cierpieniem jeno mym stoję  
I cierpieć chcę, by najdłużej.

Choć miłość ta grób mi wróży,  
Ja kocham niedole moje.

Miłości przemożna władza  
Gorącym swoim płomieniem  
Śmierć samą w życie odradza —  
Ona mym całym zbawieniem.

Choć miłość ta grób mi wróży,  
Ja kocham niedole moje.

*(sześciu Hiszpanów tańczy)*

TRZECH ŚPIEWAKÓW HISZPAŃSKICH:

Ach, któż szalonym jest tyle,  
By kląć tak Amora groty,  
Kląć dziecię, co każdą chwilę  
Życia w sen zmienia nam złoty?!  
Ach, któż szalonym jest tyle,  
By kląć tak Amora groty?

HISZPAN:

Grób sobie snadnie otwiera,  
Kto troski nie spędza z czoła,  
I kto z miłości umiera,  
Ten kochać nie umie zgoła.

DWÓCH HISZPANÓW:

Miłość jest męką dość słodką,  
Skoro serc dwoje ją dzieli  
Więc po cóż mącić twą zwrotką  
To, co nas dziś tak weseli?

HISZPAN:

Radujmy się więc co siły,  
Niech nic nie chmurzy tej doby!  
By trafić do serca miłej,  
Zawsze się znajdą sposoby.

WSZYSCY TRZEJ RAZEM:

Wesoło tylko, wesoło,  
Cierpienie to majak pusty!  
Hej, bracia, płasajmy wkoło,  
W rytmy tanecznej rozpusty!

#### SCENA IV

*Włosi*

ŚPIEWACZKA WŁOSKA:

Chcąc precz miłości wygnąć niepokoje,  
Broniłam wstępu jej do swego łona,  
Ale uległam rychło zwyciężona,  
Kiedym zajrzała w cudnych oczu dwoje.  
Ach, jakże łatwo grot w piersi się wwierca  
I strzałą z ognia topi lody serca!  
Dziś me cierpienie jest mi tyle drogiem,  
Że z żadną dolą nie pragnę zamiany,  
I kto by leczyć mnie chciał z mojej rany,  
Byłby mi jeno najzaciętszym wrogiem.  
Ach, im miłości płomień w sercu żywszy,  
Tym rozkoszniejszy zda się i szczęśliwszy!

ŚPIEWAK WŁOSKI:

Ach, krótkim jest czas młodości,  
Użyć go trzeba najmilej —

Uczmy się w szkole miłości,  
Jak z każdej korzystać chwili!

ŚPIEWACZKA:

Ach, póki śmieje się wiosna,  
Co nazbyt rychło uleci,  
Dopóki jeszcze, radosna,  
Słońkiem swem grzeje i świeci —

OBOJE RAZEM:

Śpiewajmy w lubej godzinie,  
Niech nic nam szczęścia nie klóci!  
Gdy życia wiosna przeminie,  
Nie wróci więcej, nie wróci!

ŚPIEWAK:

Twych oczu grot nazbyt srogie  
Kaleczy, kogo napotka,  
Lecz ból ten jakże nam drogi,  
A rana jakże jest słodka!

ŚPIEWACZKA:

Lecz skoro zmrożą nas lata,  
Gdy zimy lody nas zetną,  
Porzuci miłość skrzydlata  
Skorupę zeschniętą i szpetną.

Zima, Wiosna, Młodość,  
Starość, Szczęście, Śpiew

OBOJE RAZEM:

Śpiewajmy w lubej godzinie,  
Niech nic nam szczęścia nie klóci!  
Gdy życia wiosna przeminie,  
Nie wróci więcej, nie wróci!

*(po śpiewach włoskich arlekin, pajace i skoczki wykonują uciśzny taniec)*

SCENA V

*Francuzi Dwaj śpiewacy tańczą i śpiewają, co następuje:*

PIERWSZY ŚPIEWAK:

Ach, jak jest cudnie w tym gaju,  
Powabu, rozkoszy ile!

DRUGI ŚPIEWAK:

Słowik nad brzegiem ruczaju  
Słodko zawodzi swe tryle:  
    Ta ustron cicha  
    Śle czar dokoła.  
Miłością wzdycha,  
    Miłości woła.

OBAJ RAZEM:

    Luba Klimeno,  
    Ach, spojrzysz jeno,  
Jak w gaju gruchają ptaszyny,  
    Nic im nie płoszy  
    Chwilki rozkoszy,  
Miłość to cel ich jedyny;  
    Ach, patrz, ja płonę!

Spójrz na mnie tkliewiej,  
A tak jak one  
Będziem szczęśliwi!

*Zjawia się jeszcze sześcioro Francuzów, trzech mężczyzn i trzy kobiety, przebranych w stroje poiteweńskie, z towarzyszeniem ośmiu fletów i obojów i tańczą menueta.*

#### SCENA VI

*Wszystko kończy się pomieszaniem trzech narodowości i oklaskami w rytm tańca i muzyki całego zebrania, które śpiewa następujący dwuwiersz:*

Cóż za cudna zabawa, cóż za szczęsne chwile,  
Bogowie sami czasu nie pędzą tak mile.

Zabawa

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mieszczanin-szlachcicem/>

Tekst opracowany na podstawie: Molière, *Mieszczanin szlachcicem*: komedia w pięciu aktach z baletem, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Instytut Wyd. „Biblioteka Polska”, Warszawa [1925]

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Tadeusz Boy-Żeleński.

Okładka na podstawie: See-ming Lee <https://www.flickr.com/photos/see-ming-lee/>, CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.